ZŁOTA DROGA

LEON CHOROMAŃSKI

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

920

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

38
Kołoben

ZŁOTA DROGA

kr 4.-

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

LEON CHOROMAŃSKI

ZŁOTA DROGA

38
Kotlera

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-330 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

1 9 1 3
WARSZAWA – G. CENTNERSZWER I SKA.
KRAKÓW – S. A. KRZYŻANOWSKI.

http://rcin.org.pl

OKŁADKĘ RYSOWAŁ
JÓZEF TOM

INSTYTUT BADAŃ LITERACKICH PAN BIBLIOTEKA
I-45.661

DRUKARNIA NARODOWA W KRAKOWIE.

http://rcin.org.pl

RĘCE.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Na wzniesieniu rozłożyło się miasto. Kiedy słońce zachodzi, czerwony ogień rozlewa się po tysiącach okien. Krzyże licznych kościołów błyszczą oślepiająco. Rozlegają się głosy dzwonów. Dzwonią na Anioł Pański. Modli się całe miasto starożytne. Szept modłów wylewa się z domów jak szmer strumieni. O cóż modli się miasto? Czy o to, by jego dawna sława zmartwychpowstała? W sarkofagach kościelnych śpią książęta i rycerze. Na grobowcach widać wojowników w zbrojach i hełmach, z mieczem lub proporcem w ręku. Jaśnieją tam również blade twarze świętych niewiast i dziewic, które błagały niegdyś Niebiosa za walczących i opłakiwały poległych.

Miasto pamięta dawną chwałę. Jest jakby pogrążone w rozmyślaniach o niej. Po jego ulicach ciągnęły niegdyś orszaki królewskie, łopotały chorągwie, bił w oczy przepych rumaków i rzędów, roiła się i kipiała radośnie pstra rzesza. Dziś między brukiem trawa wypełza, w butwiejących parkanach strzykają koniki

http://rcin.org.pl

polne, a słońce w głębi starych uliczek kona czerwono, płacze krwawo, rzęsiście.

Miasto przycichło. Ze stłumionym oddechem żyje współczesność na tym grobowcu zamarłych stuleci. Szarzy ludzie — jak wszędzie... Lecz tu się wydają mniej znaczni, cichsi, skromniejsi. Na ulicach wiele mnichów i kobiet z różańcami. Dużo min skrzywionych, tępej obłudy, zjełczałych uśmiechów, spuszczonych oczu. Rozpusta tu chytrzej, niż gdzieindziej, pełza w cieniu i przez to staje się lubieżniejszą.

Jest tu obfitość starych rodów arystokratycznych, które wegetują niezadowolone z biegu historji, pełne uprzedzeń i niechęci, znudzone próżniactwem, apatycznie znosząc brzemię przeświadczenia, że ziemia usuwa się zwolna z pod ich stóp...

Jedna z bogatych, arystokratycznych panien tego miasta chodziła często do kościoła świętej Weroniki. Szła zwinnym krokiem, wysmukła, młoda, piękna, przyciskając zlekka książkę modlitewną do delikatnej piersi. Była niezmiernie wrażliwa i ciekawa. Jej nozdrza drżały. Tak chciała poznać życie! Spojrzenie jej tchnęło świeżością młodego lasu.

Widmo miłości unosiło się przed jej oczyma. Lecz kogo kochać? Przez kogo być kochaną? Panowie, których znała, pospolici byli

http://rcin.org.pl

i banalni. Zabawy nie upajały, choć zdawała się na nich niezmiernie wesołą. Lubiła się modlić, lecz najżarliwsza modlitwa zawodziła jej oczekiwania. Wracała jednak czas długi do ciemnych kościołów i złotych lamp, płonących przed obrazami w nadziei, że kiedyś spłynie na nią łaska i dar gorącej ekstazy.

Kiedy wyszła z arystokratycznego klasztoru, ubrano ją w białą suknię, posadzono do karety i powieziono do kardynała. Był to piękny, dostojny starzec. Czerwona czapeczka przepysznie harmonizowała z bujnymi srebrzystymi włosami. Rzekł do niej:

— Moja córko, pamiętaj, że jesteś kobietą i chrześcianką. Obowiązkiem kobiety i chrześcianki jest uległość i pokora wobec woli Bożej.

Oczekiwała z bijącem sercem, że powie coś więcej, że powie coś uroczyście pięknego i podniosłego, lecz wspaniały starzec w pantoflach purpurowych oddalił się, podtrzymywany przez młodego kleryka, który obrzucił ją na odchodnem płomiennem wejrzeniem zachwytu. Nie, ten kapłan wysoki i czcigodny dość apatycznie spełnił swój obowiązek! Westchnęła, uczuła zawód i smutek. Odtąd gasnąć począł jej żar religijny.

Pociągnęły się dni bezprzemienne. Niekiedy bywała z rodzicami w teatrze lub na koncer-

http://rcin.org.pl

cie. Dużo czytała, grała, leżąc na kanapie patrzyła w ogród lub na obłoki. W jej świadomości osiadały pewne prawdy. Przedewszystkiem, że jej środowisko to wyspa na ogromnem morzu życia, wyspa dość jałowa i nudna pomimo olśniewającej białości gorsów, angielszczyzny i etykiety. Poza tą wyspą rozlewa się szerokie obce życie, lśni i kipi w wielkich miastach. Dążyła do miasta, do tego przeklętego, odepchniętego miasta, zarażającego się zwolna nowinkami, które w oczach jej sfery zasługiwało na wzgardę. Spoglądała ku niemu jak na obraz kuszący, rozpostarty na odległym tamtym brzegu.

Pewnego dnia odkryła, że jest piękna. Pokochała swą twarz, ręce, piersi. Zawinąwszy rękaw, patrzyła nieraz długo, jak żyje jej śnieżne aksamitne ramię. Oczekiwała namiętności, ubóstwienia, miłości śmiertelnej. Czyż nie była godną ekstatycznego uniesienia, bohaterstwa, szału! Lecz od kawalerów jej sfery, przesyconych rozpustą śród aktorek i modnych nierządnic, nawykłych do złego smaku i zdrożności erotycznych, wiało chłodną poprawnością. Niczego nie można się było spodziewać od ludzi tego gatunku! Trzeba się było zwrócić do miasta, do tych ulic, które zuchwale otrząsały się ze staroświeckiej patyny. I do

http://rcin.org.pl

niej dochodził gwar boju o nowe życie. Ach, tylko stamtąd mógł wynijść bohater! Lecz bogactwo, uroda, herby, położenie społeczne odgradzały ją lepiej od świata, niż kraty żelazne. Pomyślała, że trzeba być zuchwałą, aby zwrócić na siebie oczy. Czuła, że miłość jest bramą, przez którą przejść trzeba, aby zstąpić głębiej w życie. Musiała być kochaną, aby zacząć żyć inaczej.

Spostrzegłszy raz, że idzie za nią młody mężczyzna, zeszła w boczną ulicę. Śnieg padał. Fruwały białe płatki. Szła, mrużąc oczy. Oczekiwała, że zbliży się do niej, zaleje ją potokiem słów rozszalałych. Usłyszy raz wreszcie, że cudem jest piękność jej kwitnąca samotnie. Ach, gdyby uczuła jego mocne ramię, gdyby ujrzała oko rozgorzałe potężnem pragnieniem, gdyby nieposkromione zuchwalstwo rzekło jej: — Chodź! Nie myślała, coby nastąpiło. Chciała przeżyć tę chwilę. Chciała być znieważoną okrutnie, zmiażdżoną. Niechże raz pęknie obręcz konwenansu! Niech krzyknie na nią czerwony głos uniesienia! Lecz młodzieńca powściągała jej postawa pełna harmonji i dumy, jej twarz piękna, lecz jakby pogrążona w dalekich jutrzniach czystego marzenia. Nie ośmielił się przemówić do niej. Jego zachwyt spłonął w milczącej kontemplacji

http://rcin.org.pl

i podziwie. Słyszała za sobą jego kroki. Postukiwały bezradnie, aż umilkły. Innym razem wysunęła głowę z karety, rzucając przepysznemi oczyma zuchwałe wyzwanie innemu mężczyźnie. Przystanął, jakby rażony światłem oślepiającem, pomyślał i poszedł w inną stronę.

Dość było dla niej tych dwu doświadczeń. Uczuła się zawiedzioną. Przestała niemal wychodzić do miasta. Straciło dla niej urok. Dawało tylko spojrzenia nieśmiałe, czepiające się jej sukni jak drżące, bezsilne ręce. — Ach, niema już namiętności, niema odwagi — myślała z goryczą. Niemal wciąż leżała na kanapie, czytała romanse, wyobrażała sobie, że jest bohaterką miłości. Dojrzewał w niej grunt do rozwiązłości. Żyła myślą jako żona wiarołomna, jako zdradliwa kochanka i rozpustnica. Czuła się w uściskach męskich, patrzyła na swój upadek, na zmierzch swej jasnej dziewiczej piękności. Gdy na ulicach zapalano gaz, myślała z drżeniem, że wychodzi jako nierządnica, że skrada się z podmalowanemi oczyma od domu do domu. Nachodziły ją te myśli jako sny obmierzłe. Tonęła w nich, jakby z braku uwagi. Spostrzegała się, odpychała je z dumą i wstrętem, czuła się dotkniętą. Młode jej wargi drżały z oburzenia.

Mijały tak miesiące. Wreszcie zaczął się

http://rcin.org.pl

o nią ubiegać człowiek z towarzystwa, młody, ubrany bez zarzutu. Wyznał, że ją kocha.

Spojrzała w jego twarz spokojną, bladą, ładną, bez wyrazu. Rzekła:

— Dobrze. Lecz po ślubie zaraz wyjeżdżamy. Nie chcę tego miasta. Nudzi mnie. Innego chcę życia. Prócz tego: nie kocham pana i... nie będzie mi pan przeszkadzał?

Mężczyzna ukłonił się w milczeniu.

* * * * * * * * * *
* * * * * * * * * *

Wysoka tylna ściana pałacu wychodziła na niewielki ogród — już poza obrębem siedziby arystokratycznej. W ścianie było kilka małych okienek, rozrzuconych niesymetrycznie, o szybkach mleczno-białych, okrągłych jak dna butelek. Obróciwszy się tyłem, pałac zezował jednak mętnemi oczyma w cudzy ogród. Tu i ówdzie czepiały się ściany pędy dzikiego wina. Za nizkim parkanem połyskiwała i strumieniła się rzeka. Był to skraj miasta.

Tam, w tym ogrodzie śmiesznie małym i zachwaszczonym, gdzie wysoko bujały zielska, krówki boże pełzały po łopianach i pachniał jaśmin, marzył student wydziału filozoficznego. Był to jeden z tych niecierpliwych charakterów, których młodość upływa w głu-

http://rcin.org.pl

chej tęsknocie. Skwapliwie odczytywał Platona, upajał się pesymizmem Schopenhauera, a gdy mózg zmęczyła praca umysłowa, uczuwał nagle wybuch szalonego pragnienia. Łaknął miłości, szukał jej namiętnie, szukał jej wszędzie: w domach i na ulicy, w restauracjach i teatrze, wśród dziewcząt pracy codziennej i po wertepach rozpusty. Lecz nie miał szczęścia! Spotykał albo tępą jałową skromność, albo rozwiązłość bezmyślną, której najtkliwsza pieszczota nie może powołać do jaśniejszego życia. Złożył wizytę w kilku domach mieszczańskich, lecz uciekł stamtąd przed zmorą nudy i płaskiej ckliwości. Wcale nie miał szczęścia! Pragnął znaleźć młodą dziewczynę o pięknem wejrzeniu i uśmiechu, której tajemnicze, napół niebiańskie życie oderwaćby go mogło od niewytłumaczonego szaleństwa smutku, gdy dzień się kończył, a świat wydawał pustką milczącą. Rozglądał się naokół, lecz nigdzie nie było takiej...

To uczyniło go melancholikiem, marzycielem skłonnym do szaleństwa, gorzkim i osamotnionym. Nabrał obezwładniającej pewności, że zesłany jest na świat poto, by się tu męczył napróżno, by się zadręczał w tęsknocie. Gryzł sobie palce w bezsilnej wściekłości, czując się igraszką złośliwego przeznaczenia.

http://rcin.org.pl

Wieczorami do głębokiej nocy przesiadywał na parkanie, patrząc na połyskującą w poświacie księżycowej, spokojną rzekę. Zdawało mu się, że ona wydarła się z obrębu tego więzienia, w którem czuł się zamkniętym. Płynęła zwycięska w dal głuchą. Kochał tę rzekę, tę cichą głęboką wodę...

— Miłości, miłości! Szczęścia — powtarzał, krążąc po ogrodzie. Jak lawina rosła w nim żądza upojenia. Czuł się nieraz spokojnym dzień cały, lecz na wieczór, jak lawa w kraterze wulkanu, bulgotać w nim zaczynała zjadliwa niechęć i niecierpliwość. Przed oczyma stawały obrazy okrucieństwa: że trzyma człowieka za gardło i dusi go. Widział wyszłe na wierzch, zalane krwią oczy i konwulsyjnie rozczapierzone palce tamtego. Albo schodziła żałość i unosiła jego serce, na cud czekające, w smutną bezludną krainę żółtych piachów, po których leniwie toczyły się rzeki niebieskie.

Aż ściana zlitowała się nad młodzieńcem. W pewien łagodny wieczór księżycowy otworzyło się jedno małe okno. A kiedy filozof przechodził obok, usłyszał dźwięczny śmiech kobiecy.

Zatrzymał się. Dreszcz śmiertelnego oczekiwania przeszył mu serce. Ujrzał w głębi

http://rcin.org.pl

okna, przebitego w grubym murze, okna umieszczonego nizko, lecz tak wązkiego, że nie można przez nie przesunąć głowy, parę głębokich ciemno-szafirowych oczu, które patrzyły z gwiaździstą ironją.

— Kto pani jesteś? — zapytał, składając ręce jak w zdumieniu.

— To ja raczej powinnam zapytać o to — odparł melodyjny głos dziewczęcy.

Nastąpiła pauza, podczas której on jakby podziwiał ją i rozmyślał. Wreszcie rzekł:

— Ja już dawno tu czekam na panią... i w tęsknocie...

Głos jego brzmiał smutkiem uroczystym i załamał się jakby od łez, które trysnąć miały.

— I doczekał się pan — rzekła z cichą słodyczą.

Przez kilka chwil patrzył jej w twarz w osłupiającym zachwycie. Ogarnęła go olśniewająca zaduma. Czyżby śnił? Czy w sprawę jego Niebiosa się wdały? Czy cud się iści?

I nareszcie, po milczeniu, szepnął jakby z głębi upojenia:

— Piękna jest pani...

— I cóż więcej? — zapytała cicho.

Zdawało mu się, że stoi w jasnych złotych promieniach jej spojrzenia. Na wargach jej lśnił uśmiech i nęcił jak kwiat upajający.

http://rcin.org.pl

Zamknął oczy, by ujrzeć ją na nowo. Całował w myślach jej usta. Rzekł:

— Całuję usta pani. Czy pani to czuje? Chcę je całować...

— Może tak będzie kiedy — rzekła z niezmąconym spokojem. — Lecz dziś — jak pan widzi — niemożna.

Roześmiała się...

Uczuł, że żar buchnął mu w krwi od tych słów i śmiechu. Twarz jego zalał palący rumieniec niepojętego wstydu. Ach, te słowa dziwne, figlarne i ten wdzięk lazurowy, kuszący! Pomimo swych tęsknot nie przeczuwał nigdy, że kobieta może być tak piękną.

— Może mi pani inną okazać łaskę. Niech pani poda rękę, abym ją ucałował.

Milcząc, wysunęła rękę.

Była to giętka przepyszna ręka wyrzeźbiona z białego marmuru, który ożył, zmiękł i pulsował.

Dotknął smukłych palców gorącemi ustami, całował dłoń i dalej rękę po za łokieć, dokąd mógł sięgnąć.

Mówił:

— Mam twą rękę... Drży lekko... Wszystkiem jest ta ręka czarująca. Mam cię... trzymam w objęciach całą... Tyś moja...

Patrzyła mu w oczy oczyma, w których

http://rcin.org.pl

widział uśmiechnioną tajemnicę Piękna i Wieczności. Wysunęła rękę z jego dłoni, podała mu drugą.

I w tę wpatrywał się z uniesieniem. Całował każdy palec. W głowie ważył zagadnienie, która z tych rąk jest piękniejsza.

Długo tak całował dłoń jej naprzemian i włosy, z których szpilki wyjęła, mówiąc niewiele, milcząc. Oddawała mu się cała. Czuł to, że chce ona, by wziął jej piękność, by pochłonął ją nazawsze.

— Czas mi już odejść — rzekła wreszcie. — Przeziębię się w tym korytarzu. Miałam już spać, lecz coś mnie tknęło, aby wyjrzeć. Gdyby mnie tak zastano tutaj... Lecz służba śpi... Jestem w bieliźnie tylko i boso... w pantofelkach. W nogi mi chłodno...

— Szkoda, że nie mogę całować twych nóżek. Wiem, że są piękne, jak twe ręce. Ale, droga moja, zrozumiej mnie: to okropne, że już odchodzisz. Dlaczego nie zapomnisz o wszystkiem i nie zostaniesz ze mną przez noc całą? Nie odejdziesz tak chyba — prawda? Nie! Zobaczymy się jutro. Naznacz mi czas i miejsce, gdzie ty chcesz?...

— Zobaczyć mnie możesz o godzinie piątej, nad wieczorem, w kościele świętej Weroniki.

http://rcin.org.pl

— Ty przyjdziesz?

— Tak.

— Ja będę. Będę czekał. Nieustannie czuć będę twą rękę na ustach. Nie rozstanę się z nią, dopóki cię nie ujrzę.

— Ujrzysz mnie z pewnością, mój drogi.

Okno się zamknęło. On stał i czekał, że uchyli się znowu, że głos jej raz jeszcze usłyszy. Potem siadł na parkanie. Patrzył na rzekę, lecz nie widział jej. Nie widział nic. Tonął w olśniewającem zapomnieniu, aż usłyszał świergot ptaków. Zbudził się ranek. Słońce się wytoczyło i ścieżyny ogrodu leżały w różowo-cielistych miękkich objęciach światła.

* * * * * * * * * * *

* * * * * * * * * * *

Był o piątej w kościele świętej Weroniki. Wielki ołtarz i boczne gorzały światłem. Płonął rzęsiście ogromny świecznik i cicho dzwoniły kryształy. Do głównego ołtarza słała się droga z czerwonego sukna.

Modlących się niewiele było. Kilka starych suchych kobiet tuliło się po ławkach. Lecz napływ się zwiększał. Były to przeważnie młode dziewczęta. Wchodziły z lękiem, z uśmiechem oczekiwania. Stanął w ciemnym kącie i patrzył na stare ponure obrazy. Szare ściany, zdawało się — nasiąkły od wieków

http://rcin.org.pl

ciszą i chłodem grobu, lecz górne barwne okno grało wizją kwiatów i tęczy. Nużący rozkoszny dreszcz oczekiwania kołysał mu serce.

Rozległ się grzmot karet zajeżdżających, brzęk uprzęży, łoskot kopyt. U podwoi ukazali się mężczyźni we frakach, kobiety w białych sukniach.

Byli to arystokraci. Poznawał po zachowaniu pełnem zimnej grzeczności, po wypielęgnowanych miękkich twarzach, po zębach, które połyskiwały raz po raz w uprzejmym uśmiechu. Poznawał kolegów z uniwersytetu, którzy zawsze trzymali się zdala, przezywali wzajemnie śmiesznemi imionami i byli ludźmi dziecinnego umysłu.

Myślał, że ona będzie w orszaku weselnym. Niby ciężki cios oszołomił go wstyd ognisty, że ona jest... panną młodą. Tak. To ona była. Te same włosy ciężkie, których miękkość czuł dotąd, zebrane teraz w pukle koło uszu, ta sama płeć olśniewająca, matowobiała! Czyż nie patrzył wczoraj w te prześliczne dumne oczy w tryumfalnej oprawie aksamitnej!

Twarz jej zdawała się spokojna. Nie była radosną ani smutną. Oddawała się ślubowi w uroczystem skupieniu, jak czemuś, co do-

http://rcin.org.pl

konać się musi. Jej długie rzęsy były opuszczone jakby ze wstydu. Na ustach, które wczoraj uśmiechały się tak czarująco, leżała powaga myśli. Może czuła obawę na progu nowych losów, lecz nie dawała wzruszeniu wyjść na jaw.

Piersi jej oddychały swobodnie.

Gorzka paląca litość nad sobą pierś mu zalała. Przez dwanaście godzin upajał się jej wspomnieniem i dręczył myślą, że nie przyjdzie. Lecz jeśli przyjdzie, to myśli o nim, chce poznać duszę, którą z takiem uniesieniem do stóp jej rzucił. I przyszła, jest, lecz jakże daleka! Odbywa się obrzęd, wobec którego małą i niepotrzebną jest jego obecność. Nie myśli o nim. Zapomniała zapewne. Niczem jest dla niej, a ona dla niego... Nie spuszczał z niej oczu, lecz ona nie widziała go... Ach, zapomniała już o nocy, kiedy patrzył w jej źrenice, w dwie głębokie otchłanie Piękna i Wieczności. Gdyby tak obróciła się nagle, znalazła go, zarzuciła mu ręce na szyję, krzyknęła tym ludziom: — Nie rozłączycie nas nigdy!

Zatrzymał się obłąkanym wzrokiem na człowieku, który miał zostać jej mężem. Dosyć wysoki mężczyna, z twarzą chłodną, opanowaną. Mówił wzrokiem: — Zasłużyłem na taką kobietę i biorę ją.

B IBL
http://rcin.org.pl

— Dlaczego? Dlaczego? — krzyczał zawistny żal w duszy młodzieńca. Dlaczego on, a nie ja? Ach niegodziwiec: nie czuje się nawet szczęśliwym. Jeżeli nie umiesz żyć, nie zastępuj drogi innym...

Odezwały się uroczyście organy. Wtedy wydało mu się, że ona drgnęła: myśl jej pogrążyła się jeszcze głębiej, w większe zapadła osamotnienie, odsunęła się dalej od niego. Ksiądz się ukazał, rozpoczął się ślub. A on patrzył dręczony tym widokiem, jak zmorą senną. Zabierają mi ją, a ja nic... nic... Czuł się nikczemnym, śmiesznym.

Potem ujrzał, że zaślubiona idzie zwolna środkiem kościoła. Była jak poprzednio spokojna. Lekki uśmiech uprzejmej damy jaśniał z jej warg. Lecz on widział, że dusza jej daleka od tego, co się dzieje, pracuje gdzieś w głębiach pełna wątpliwości. Głęboka w jej oczach stała się cisza smutku. Nie widział go nikt, lecz on widział i zabierał tę tajemnicę.

Nagle jej głowa poruszyła się, przypomniała, obiegła kościół. Znalazła go. Jej oczy pojęły jego ból, napełniły się srebrzystem światłem miłosierdzia, krzyknęły mu:

— Ja pamiętam...

Pośród szelestu sukien i szurgotu nóg uprowadził ją orszak weselny.

http://rcin.org.pl

Poszedł za innymi, wyszedł z kościoła, zatrzymał się na schodach. Ciążyła mu głowa, ręce, nogi. Stał jak przykuty, nie mógł ruszyć się z miejsca. Obezwładniony był, bezsilny.

Siadając do karety, obejrzała się raz jeszcze. Jej wielkie, chłodne teraz oczy szepnęły:

— I cóż, dzieciaku? Idź. Wszystko skończone...

Ruszyły pojazdy. On stał odrętwiały. Słuchał, jak gwar powozów gaśnie. Drzwi kościoła zamknięto. Kiedy się ocknął z letargicznej zadumy, pusta była i cicha ulica. Ślub i orszak zniknęły jak mara senna.

Czuł, że ona — pomimo wszystko — jest tą rzadko spotykaną kobietą, której szukał tak długo i napróżno. Te ręce, które tulił i całował w noc księżycową, uniosły go na górę szczęścia, skąpały w promieniach uniesienia, i pogrążyły w mrokach. Miłość jego nie będzie miała jutra. Umrzeć musi ta miłość tak droga i niespodziewana! I oto stoi teraz w pustej ulicy jak marzyciel dziwaczny, upokorzony za to, że chciał szczęścia.

...I ta najdroższa zawiodła... najdroższa na świecie całym, jedyna! Więc nadzieja, światło i miłość zagasnąć muszą! Miłość musi zagasnąć... miłość? upojenie, pieszczota, dobroć głęboka i zrozumienie? Więc potrzebne jest

http://rcin.org.pl

to rozstanie i wstyd, okrucieństwo i poniżenie?...

Wszystko w nim kipiało i szlochało. Był zelżony, poniósł klęskę. Łzy go dusiły. Tracił oddech i przytomność. Rozwierał palce i zaciskał je, jakby usiłując zgnieść rzecz twardą.

I nagle w oślepiającem, jaskrawem widzeniu uczuł do głębi włókien i rdzenia kości, że życie jest wrogie, że świat chce poskromić i pokonać jego j a samotne. Uczuł, że jest światem odrębnym, a ona, ta dziewczyna, którą kochał tak krótko i gwałtownie, stanęła po stronie t a m t e g o świata.

http://rcin.org.pl

PANI HOULD.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Oddawna już myśl o pani Hould i jej dworze powracała uporczywie. Był to jeden z tych wypadków, kiedy niedoznawane dotąd lub słabo odczuwane pragnienie zaczyna nagle fermentować i rosnąć, kiedy z ciemności wyłania się blask, z chaosu — kształt i widzi się powstawanie tam, gdzie mrok nieprzenikniony kazał czuć pustynię. Jak człowiek w ciemnościach, opasany kręgiem węża, którego ciało tworzy koło zamknięte, pełznąc, napotyka zewsząd ślizką, zimną, drgającą lekko pod palcami ścianę, tak ja, ilekroć chciałem oddać się sobie i marzeniom nieokreślonym, zaczynałem myśleć o pani Hould, o dziwnym uśmiechu jej cichych ust zaciśniętych, o jej twarzy dostojnej, na której smutna rozlewała się powaga, o jej jedwabnej sukni, miękko szeleszczącej, o jej ręce wytwornej i suchej, którą, jak mi się zdawało, torowała sobie drogę w tłumie z pewną ironją, wśród lekkich szeptów pochlebstwa i spojrzeń. Nie tylko jednak o niej myślałem, lecz raczej o całym jej dworze, o po-

http://rcin.org.pl

wietrzu, którem oddychają ci ludzie, o kontraście między panią domu a jej gośćmi, o tajemnicach, które mi się odsłonią, kiedy się znajdę wśród nich... Pożądałem innych wrażeń, niż te, jakich doznawałem w mieście. Zdarzało się, że wracałem do mego pokoju rozbity i znudzony. Krzyki miasta naprzykrzały mi się ze wszystkich stron. Olbrzymie okna lśniły odrażająco. Zaczynałem chodzić po pokoju z początku wolno, potem coraz szybciej, potrącając sprzęty. W duszy mej rosła nawałnica niepokoju, zrywały się dalekie tłumne okrzyki rozczarowania. Sam na sobie robiłem wrażenie człowieka schwytanego w potrzask. Nagle — jakbym ramieniem potrącał dzwon zawieszony na gałęzi i tak niespodzianie, jak wśród ciemnej nocy zabłyśnie czasem róg księżyca — rozlegał się głos pani Hould i stawała ona sama, a wraz z nią zjawiało się miłe drżenie w piersi, oddech spokojniejszy, jakobym znalazł wyjście z zaułka, jakieś drzwi, które mnie ocalały. Skąd ta dziwna stara kobieta mogła mieć takie znaczenie dla mnie? Przeczuwałem widocznie wiele rzeczy ukrytych jeszcze, lecz już stać się mających. Odsunąłem się od znajomych, z którymi dawniej spędzałem wolne chwile. Cierpko i nieznośnie odsłoniła

http://rcin.org.pl

się przede mną ich duchowa pokora. Byli manekinami życia, a języki ich obracały frazesami bez znaczenia.

Nigdy nie wspominałem przed nikim o swojej rozterce. Głodna ciekawość do życia pani Hould wzrastała we mnie w ukryciu przed wszystkimi, a perjodyczne nawroty i paroksyzmy tej ciekawości miały w sobie zaiste coś zdumiewającego. Poznawałem w tem spontaniczną formę ucieczki przed okolicznościami, jakie się naokół nas składają, odrazę do rzeczywistości zbyt zacisznej, jaką obdarowywa nas ręka Losu — rzeczywistości, nawet tu i owdzie niepozbawionej uroku — wyrafinowaną niechęć względem łez, wyblakłych oczu, spokojnych wrażeń. Ilekroć pogrążałem się w marzenie o pani Hould, widziałem i czułem nieodparty suchy blask postanowień i wyroków ostatecznych.

Niekiedy przyjaciele moi przychodzili mnie odwiedzić. Udawałem gościnnego gospodarza, uśmiechałem się przyjaźnie, zachęcałem do jedzenia i picia. Słysząc naokół gwar wesołych rozmów, wśród których, jak tęcze w chmurach, przewijały się tu i owdzie dźwięczne imiona kobiece i wspomnienia pieszczot, jakiemi darzyły mych przyjaciół nieznane piękności, myślałem o tem, że kochały ich efe-

http://rcin.org.pl

merydy, które, nim słońce zaszło, zerwały się i uciekły — już nazawsze, zostawiając trochę płochych wspomnień i nieco melancholii. Ach, żaden z nich nie był zraniony aż do głębi, żaden z nich, stając w obliczu słońca zachodzącego, gwiazd, nocy i swej własnej duszy samotnej — nie żądał, by to, co było, miało jeszcze inne życie, by nieposkromiona energia miłości znalazła gorzkie otchłanie piekieł i niebiosa lazurowe!

W owym czasie pogardzałem ludźmi — to prawda, choć sam byłem pod władzą urzeczenia i rozmyślałem o pani Hould z uporem, który — powtarzam — nazwanoby dziwactwem, gdybym się zwierzał. Zdawało się mnie, człowiekowi, który nieraz spoglądał naokół melancholijnemi oczyma, że tam właśnie znajdę niejedno, co mnie uleczy z pragnienia, by wszystko kłaść na sercu i znajdować wszędzie lekką wagę, zamiast ciężaru rzeczy głębokich.

Zdarza się przecie, że człowiek — nawet szczęśliwy — chce jednak w pewnej godzinie innego świata i uczuć innych, może pełnych cierpkiego uroku, może zmrożonych, że chce tego oceanu, gdzie zorze borealne odbijają się w lodach wiekuistych, i żaden krzew winny nie podaje ochoczo swych gron spragnionych

http://rcin.org.pl

ustom. Czyżbym i ja chciał pustyni i szlochu zdławionej piersi?

Jadąc do zamku pani Hould, myślałem o pierwszem i jedynem spotkaniu z tą kobietą i o okolicznościach, które temu towarzyszyły. Ciężki księżyc wyłonił się z za chmur i błysnęły wązkie, o głębokich oścież ach okna. Całość zamku robiła wrażenie ogromu, ciężaru i ciszy, jaką tchną skały i rozpadliska, zamieszkałe przez płochliwe, trwożne zwierzęta o wązkich lśniących źrenicach, które na widok człowieka przepadają nagle wśród zielsk. A jednak — trzy lata temu widziałem wnętrze tego gmachu w godzinach pełnych gwaru i wesołości, tańca i muzyki na długich rzeźbionych galerjach. Pamiętam niewysłowioną uroczystą wysokość stropów, pod którymi rzęsiste paliły się świeczniki — wysokość niemal mistyczną, wywołującą westchnienie religijne. Dalej — gwarne, wesołe grupy gości, bawiących się rozmową lub tańczących, olśniewające pióra i stroje, kolory jaskrawe i przyćmione, świetliste blaski kosztownych brosz i djamentów, łona falujące, przepyszne wysokie szyje i toczone ramiona, oczy powleczone aksamitną zadumą, perły na piersiach i perły między wargami kobiet, co się śmiały. Tym wieńcem par młodych i rozba-

http://rcin.org.pl

wionych otaczała się pani Hould, jakby zawrotnym kręgiem wizyj własnej młodości! Ach, jakże mi dobrze było właśnie dlatego, że nie znałem wszystkich tych kobiet i tych mężczyzn, którzy tworzyli społem całość, ożywioną jednym oddechem! Pamiętam tę ciszę w mej piersi, z jaką przechodziłem od grupy do grupy, od jednych pięknych oczu kobiecych do innych niemniej uroczych — a wszędzie jako samotny zawsze i z nikim nie związany, choć zamieniałem słowa i uśmiechy. Zaprawdę, ten tłum był mi obcy, lecz gdy ukazała się pani Hould, gdym dotknął ustami jej wązkiej dłoni, gdy przemówiła do mnie kilka słów pochlebnych — uczułem się dziwnie wzruszony. Ciekawość moja poruszyła się i podniosła w sposób inny, niż to było, gdym patrzał na gości. Bo gdy tamci byli rodzajem rozkosznego mirażu — barwnym płomieniem, który rozwieje się za chwilę i zgaśnie, a jest wieczystem łudzeniem tylko siebie i innych — o pani Hould myślałem, że ona istnieje naprawdę. Myślałem z zachwytem niemal, że ona żyła niegdyś w sposób tryumfalny i piękny. Ach, ileż czarownych namiętności i tajemnic odgadywałem w jej przeszłości! Tchnęła dla mnie ta przeszłość urokiem zdarzeń niepospolitych! Oczy pani

http://rcin.org.pl

Hould miały chwilami blask zorzy polarnej! Jej usta mocno zaciśnięte uśmiechały się przychylnie, lecz jakby wzgardliwie. Postać była wyniosła i czułem to — wśród tego zgiełku i wiru — samotna. Cały ten pierścień opalizujący osób, oddanych wrzawie i zabawie, nie wywoływał w niej innego uczucia prócz pobłażliwego zadowolenia. W oczach i ustach pani Hould odnajdowałem ślady długiego przebywania z sobą, długotrwałej męki pytania: skąd? dokąd? po co? Odnajdowałem w niej cierpką i rzadką zdolność zdumiewania się życiem i niestety — przenikania aż do głębi ponurych ciemności i klęsk, w jakich błądzimy. Pomyślałem: są godziny, które omijają innych, lecz ciebie nawiedzają — godziny pełne niewysłowionego cierpienia, ale zarazem tej dziwnej przejmującej muzyki, która ciągnie aż w głąb, gdzie wszelkie głosy i uczucia zlewają się w hymn wiekuisty. Z tych kilku dni, które spędziłem u pani Hould, nie zginęła ani jedna godzina tak, aby śladów po niej nie zostało. Każda wyryła na mej duszy runy tajemnicze, które, jak ogniki na czarnej skale, zaczynały świecić, nęcąc i ostrzegając, bym miał się na baczności, bym nie mijał obojętnie, bym odgadł ich znaczenie.

Gdym po raz drugi — po tych tęsknotach,

http://rcin.org.pl

które nawiedzały mnie w mieście, odwiedził dom pani Hould zastałem w nim tłum gości — wir gwaru, śmiechu, płochych rozmów, okrzyków i westchnień. Pełno romansów kryło się po kątach starego parku. Pełno szeptów i pocałunków szemrało, gdy księżyc rozlewał swą ciszę uroczystą. Zaprawdę, w zamku tym żyło ciało, tryumfowało, oddychało głośno, spragnione a nienasycone. A wśród tej zapamiętałej pogoni za spazmami rozkoszy, wśród purpurowych hymnów krwi — pani Hould, nosząca na czole i w oczach jakby odblask tęsknoty niezaszczonej przez życie, które już zachodziło, głęboką gorycz i tajemnicę duszy wybranej i samotnej. Ach, jakże wyniośle uroczystym było to kontrastem dla mnie, jakże czarującym! Od lat młodzieńczych wyczuwałem atmosferę, która otacza niewidzialnie każdego człowieka. Dlatego wobec jednych czułem mdłości, jak na morzu podczas kołysania, wobec innych — poczucie jałowej zgrozy lub martwoty, dalej — dumę gwałtownie spotęgowaną, skłonności żartobliwe, radość niespodziewaną, lekkość i radosne okrzyki serca lub ciche żarliwe uśmiechy, które jak ptaki zrywały się i uciekały gdzieś w głąb. Wobec pani Hould czułem nagle otwierający się przestwór, jakoby pełen lazurowego po-

http://rcin.org.pl

wietrza, którego żaden ptak nie mącił ciemnem skrzydłem, i żal, gorzki żal... Czyż mam wyznać, że kochałem w wyobraźni panią Hould taką, jaką była niegdyś — młodą i uroczo piękną. Kochałem z uniesieniem beznadziejnem...

Pewnego dnia pokazała mi małą miniaturę na kości słoniowej, na której ją ujrzałem w dwudziestym roku życia. O, niewysłowiona delikatność jej miękkich pukli złotych! O, czysty, pełen pogody zarys czoła! O te oczy, w których już wtedy stała cicha nieukojona tęsknota. O usta, pełne wówczas, żywe i kwitnące, które uśmiechały się tak wdzięcznie — jak niebiosa nad rajem pierwszych rodziców! Wziąłem portret z ręki pani Hould i przypatrywałem się zbożnie tym rysom już nieistniejącym. Oczy moje napełniły się łzami, a pierś uniesieniem. Pani Hould prosiła mnie, abym jej wizerunek zatrzymał nazawsze.

W ten sposób zaczęła się we mnie dziwna miłość ku nieistniejącej kobiecie, której cień zetlały błądził jeszcze po ziemi. Rzecz prosta, że kryłem się z tem głęboko przed wszystkimi. Czy miałem się zwierzać, że chę wskrzesić piękność i młodość pani Hould? Czując, że moje marzenie nigdy nie może się spełnić

http://rcin.org.pl

— nieraz doznawałem wstydu i chciałem żyć, jak inni ludzie. Naokół było przecie tyle kobiet, które mógłbym kochać — może nawzajem kochany. I rzec mogę, że niejeden „romans pod drzewami" zainscenizowałem i przeprowadziłem podczas pobytu w zamku pani Hould. Kobiety odgadywały we mnie pragnienie i przez ciekawość nie zawsze bywały mi oporne. To też całowałem niejedne piękne usta i jak jeździec rumaka ostrogą, tak ja podniecałem uściskami swą leniwą wyobraźnię, by wreszcie choć jedną z tych kobiet ujrzeć w świetle najpodnioślejszego uniesienia, by ramiona białe i żywe wyrwały mnie z zaklęcia tych delikatnych ramion, które widziałem na miniaturze, lecz których drgającego ciepła nie mogłem posiąść inaczej, jak w wyobraźni.

Lecz zdarzało się, że usiłowanie moje pękało nagle, obnażając szyderstwo z siebie, ze swych zapędów i z tej kobiety, która uwierzyła mym zaklęciom. Zdarzało się, że nagle wybuchałem urągliwym śmiechem wśród pieszczot najsłodszych, zdumiewając i obrażając nieznośnie jedną z tych efemeryd, które nie znaczyły dla mnie więcej, niż gwiazda spadająca dla wędrowca. Doprawdy, nie czułem z tego powodu wyrzutów sumienia, ani dba-

http://rcin.org.pl

łem o to, że może piękne, lecz w istocie obojętne mi oko, przepłakało przeze mnie jedną życia godzinę.

To znowu uciekałem od pokusy zbyt łatwych miłostek do samotności — nad brzeg morza, tam bowiem najwolniej oddawać się mogłem tęsknotom.

Zamek pani Hould stał w głębi lasu o godzinę drogi od morza. Drogę tę przebywałem, brnąc po wzgórzach, pachnących rzęsistymi wrzosami. Srebrzyste osty rozsiadały się po osypiskach jałowcowych, gdy bliżej było morze. Potem brzeg — piach szeroki, rozesłany jak ciało złotawe i ciepłe, głęboki piach, grający pod stopami. Był on przeczysty ten piach, a tak równy, że przejście małego ptaka znaczyło się długim śladem koronkowym, a moje stopy otwierały w nim rany głębokie i ziejące, zdala widne a nieme. Na tym piachu tu i owdzie jakieś źdźbło trawy pochylało się, więdnąc i obracane przez wiatr rysowało suchym ostrym końcem koło równe, ciche i subtelne. Porzucone przez rybaków sieci na drągach rzucały na piach splot delikatnych żyłek błękitnawych, jak na piersi dziewicy. Od lądu stały milczące głucho, a stromo zerwane i ścięte wzgórza piaszczyste. Pamiętam blade niebo

http://rcin.org.pl

jesienne nad tem rozwieszone, uległe i ciche, i jakieś chmurki rozpierzchłe, o błyskach miedzi lśniącej, pełne tęsknoty i osamotnienia. Pamiętam wiatr łagodny od lądu i zgiełk morza, które, jak okiem sięgnąć, wzdłuż brzegu i wszerz po skraje widnokręgów tarzało się w swem zapadlisku. To morze, wiecznie gniewne i spiętrzone, łkało samotnie, targało się i wrzało rozjuszone, rzucając raz po raz ogromne zawały lśniących fal ku lądowi. Pamiętam nieustanny pęd srebrnych szarf i grzyw piennych i archipelagi całe pian, wędrujących jak białe róże po granacie morza. A bałwan, uderzywszy o brzeg, rozlewał się płasko z szelestem liści, spadających z drzewa, a potem, świszcząc, staczał się znowu w otchłań wodną.

Na tych brzegach, gdy słońce zaszło i wieczór się poczynał, mewy zrywały się niechętnie na mój widok i uciekały w głąb morza. Uciekały tak cicho i bez szelestu. Moc małych krewetek skakała po wybrzeżu w różnych kierunkach — również bez głosu i szmeru. Zdawały się objęte frenetyczną żądzą upojenia. Zawodziły jakieś tany radosne, fantastyczne, a głucho milczące. Ach, tam milczało wszystko! Nie było głosu ani w szafirowo-srebrnej rybie, drgającej u brzegu, ani

http://rcin.org.pl

w galaretowatej, szklisto-różowej meduzie, przybitej falą na piach i konającej, ani w ptaku przelatującym, ani w niebie, ani w chmurze, ani we wzgórzach, zapadłych w ciszę grobową. Tylko morze huczało, toczyło się i łkało, rzucało się na brzeg i spadało wysilone w wiekuiste łożysko...

Tam, na tym brzegu tak bardzo samotnym, w obliczu huczących wód i chmur nieraz przerażonych, myślałem o wieczności niepojętej i niedostępnej, o gorzkiem przemijaniu człowieka, o piękności dawnej pani Hould, która nie wróci już nigdy, jak zorza pierwszego dnia grzechu i szczęścia. O melancholjo, ileż powodów miałem, aby cię karmić! Myślałem o ludziach żyjących jeszcze, lecz już naprawdę przeminionych nazawsze, o obojętności morza i niebios, o dawnych królach, leżących teraz w niemocy sarkofagów, o zawiedzionej sławie i miłości i o straszliwym, rwącym naprzód, miażdżącym serca nasze — Czasie!

Cóż miałem czynić? Jak się wyzwolić z obłędu pragnień nieziszczalnych, jak unieść swe serce poza ogień tęsknoty, dla której w żadnem sercu nie mogłem znaleźć zrozumienia? O gdybym mógł powierzyć mój smutek komu z ludzi! Lecz nie było nikogo.

http://rcin.org.pl

Sama pani Hould, która może odgadywała nieco — nie chciała dać poznać tego po sobie. Czyż uczucie, które mnie trawiło, nie należało właśnie do tych, które pogrzebać trzeba nazawsze — milczeniem?

Pewnej godziny dowiedziałem się, że przyjeżdża córka pani Hould, której nie widziałem dotąd, lecz o której matka wspominała mi niekiedy. Niebo w ów wieczór miało barwę tak pięknie lśniącą i błękitną, a małe białe obłoczki, delikatne i ciche, nadawały mu powab przeczystej niewinności. Olbrzymie drzewa stały milcząco i uroczyście. Długo słyszałem głuchy pogwar kół, potem rozległ się łagodny dźwięk trąbki forysia, potem parskały konie. Z powozu wybiegła młoda wysmukła dziewczyna i rzuciła się w objęcia matki. Ach, odnalazłem w niej nagle przepyszne złote włosy tamtej z miniatury i blask powiewny oczu i giętką żywość członków tak harmonijnych, że ich proporcje wywołały widzenie jakiejś prawdy wyższej i niedosiężnej! Długo witały się kobiety, a gdy wreszcie pani Hould wyszła z objęć córki — dziwna ciekawość kazała mi odwrócić na chwilę wzrok od uroczej piękności młodej dziewczyny i zatopić oczy w źrenicach pani Hould — spojrzeniem natrętnem i zuchwałem,

http://rcin.org.pl

które wprawiło w zdumienie jej córkę, gdyż wykonała ruch, jakby chciała się cofnąć i położyła bezwiednie rękę na sercu. Trwało to część sekundy może, ale przez ten czas zdołałem ujrzeć w głębi oczu pani Hould jakby dźwigający się rozpaczliwie płomień żalu, a milczenie, które potem nastąpiło między nami trojgiem, przekonało mnie, żem się nie mylił. Pani Hould wyszła, zostawiając nas samych, a gdy roztwierała nizkie drzwi w głębi pokoju, wydało mi się, że wchodzi do grobu.

Dla mnie było to jej wyjście o s t a t n i e, bo odtąd nie kochałem już jej na miniaturze, lecz tę młodą, olśniewającą istotę, w której odnalazłem duszę matki w ciele wonnem i upajającem! Mogę twierdzić teraz, gdy lata oddzielają mnie od tych godzin, że kochałem Magdalenę. Od chwili, gdy przyjechała, nie kochałem już Cienia Umarłej, lecz ją samą, żyjącą, z czystą świeżą krwią w żyłach — z włosami, które wołały do mnie jak złoty wschód słońca, z gestem cudnego dziecka i olśniewającej dziewicy. Ileż czaru i lęku było w jej ruchach, w tajemniczych przepysznych zwrotach głowy i spojrzeniach przy tem! Jak głęboko i żywo lśniły oczy, gdy mówiąc zdawała się mnie badać przepaściami swych źrenic o rzeczy inne, niż te, o które

http://rcin.org.pl

zapytywały jej usta. To łagodną, to okrutną tęsknotą do niej była miłość moja. Straciłem poczucie godzin, bo te, kiedy ją widywałem, upojne były i krótkie jak mgnienie oka, a te, kiedy nie było jej przy mnie, nieraz bywały zbyt długie i roztęsknione. Zresztą — ona zawsze była obecna — ze mną, jeśli nie ciałem, to duchem. Jak czarnoksiężnik powtarzałem raz po raz zaklęcia, aby w marzeniu ujrzeć Magdalenę jak żywą, uczuć dotykalnie jej piękność, być olśnionym, i znowu wywoływać ją i oczyma pochłaniać. Dlaczego? Co obiecywało jej zjawienie? Nie wiem. Było to tajemnicą mego serca, że musiałem ciągle pragnąć widoku Magdaleny i nigdy nie mogłem być nasycony. Otwierała się w mej duszy przepaść głodna — olśniewające pragnienie równie nienasycone jak serce, które nigdy bić nie przestaje, które czuwa wiecznie — i w dzień i w noc! Zdawało mi się, że wszystko, do czego dążyłem kiedykolwiek, wszystkie drogi moich tęsknot i pożądań zbiegły się teraz u tego kresu, którego przekroczyć nie mogę, po za który wyjść mi niepodobna. O Magdaleno, byłaś trudną tajemnicą! Była w tobie urocza świętość, której nie mogłem pokonać...

Czy snułem zamiary na przyszłość? Czy

http://rcin.org.pl

marzyłem o tem, że zostanę mężem Magdaleny? Nie. Nie było w mej miłości nic praktycznego, ani przewidującego. Chciałem patrzeć i żyć chwilą, która mnie upajała. Oto wszystko. Teraźniejszość była zbyt olśniewająca, abym myślą ścigał dzień jutrzejszy. Doczekałem bowiem tych godzin, które artysta w większej ma czci, niż lata oczekiwań.

Jaką była Magdalena dla mnie? Jak słońce rozlewa ciepło i światło, tak ona zlewała na mnie swą dobroć niewyczerpaną. Lecz gdy wszystkie moje myśli i tęsknoty skupiły się i stanęły nad nią, jak gwiazdy nad morzem, ona miała tęsknotę swą umieszczoną gdzieś wyżej i nad niejednem słowem mojem lub westchnieniem przechodziła z łagodnym uśmiechem. Magdalena pokonywała mnie nie słowami, z któremi można walczyć i zwyciężać, lecz milczeniem, pewnemi chwilami swego życia w milczeniu, które ukazywały mi ją ciągle na wysokościach niedosiężnych. Czy mam wyznać to, co dziś pali mnie wstydem? Magdalena traktowała mnie nieraz pobłażliwie, z wyższością przyrodzoną istoty, którą głębiej pokochały rozparte nad nami niebiosa. Może widziała we mnie porywczość i błądzenie dziecka? Może czuła, że nie przyszedł czas i wiele rzeczy wypadnie mi jesz-

http://rcin.org.pl

cze przeżyć, zanim taka, jak ona, kobieta zechce wyjść ze swej samotni i oddać mi całą siebie. Dość, że ja oddawałem jej wszystko, ona zachowywała dla siebie część swej duszy, do której nie dała mi dostępu.

Ta wyższa istota nie zwierzała się nigdy ze swych przeżyć najgłębszych. Być może miała jedną tajemnicę, ale jakże złowrogą, skoro ta zmusiła ją w kwiecie młodości, w uroczym rozkwicie piękna wzgardzić dalszemi godzinami tryumfów, słońcem dnia i kwiatami nocy, moją miłością, rozpaczą matki i przenieść zimną czeluść grobu nad życie na ziemi!

Pewnego straszliwego poranku znaleziono ją martwą w łóżku. Szklanka z niedopitą trucizną zaświadczyła, że jej tęsknota była zaprawdę głębsza, niż myślałem, że była śmiertelna. A więc wróciła ze świata do domu, aby tu umrzeć? Odeszła w milczeniu — na zawsze! Nie zostawiła nam małego listu, z którego moglibyśmy odgadnąć część prawdy, którą zabrała z sobą do grobu... Jeżeli listy wszystkich samobójców i samobójczyń krótkie są i lakoniczne i mimo swej treści nieraz czułej tchną cichą wzgardą dla ludzi, którzy c h c ą ż y ć, jeżeli człowiek blizki śmierci czuje głębiej swą samotność, jeżeli już przed

http://rcin.org.pl

krokiem fatalnym zalega w nim milczenie chaosu, do którego za chwilę ma powrócić, to Magdalena nie napisała ani słowa zgodnie z swą naturą dumną i robiącą to tylko, co ma sens rzeczywisty, nie zaś pozór sensu. Zważyła ona na szali swego postanowienia tę prawdę, że istota ludzka w tem, co tragiczne, przez inną zrozumianą być nie może i nie chciała karmić nas okruchami pociechy. Zapragnęła, abyśmy fakt jej śmierci przeżyli w całej jego tajemniczej grozie i piękności. Czyż sytuacje, przez które przeszła, nim dobiegła kresu swej drogi ziemskiej, mogłyby nam dać odczuć naturę i charakter oraz głębokość jej wizyj i przeżyć? Z okoliczności, w jakich żyła — a które mogły być zwyczajne nazewnątrz i spokojne, dusza jej umiała stworzyć własne piekło, które ją pochłonęło. Ach, ona czuła, że słowa nie wytłumaczą duszy — jedynej po przez wszystkie wieki wieków!

Tak myślę teraz, lecz wówczas zapadłem w osłupienie. Świat i dzień otoczyła mgła nieprzejrzana, w której nic nie widziałem. Czasem rozdzierała się ta mgła i wtedy stawało blizko mnie, jak zwierzę okrutne z pałającemi oczyma, poczucie nieszczęścia wiekuistego. Dotąd nie umiem powiedzieć, czy rozpaczała

http://rcin.org.pl

pani Hould. Zdaje mi się, że w domu i wówczas było pełno gości i że natychmiast, jakby owiani zimnym tchem śmierci, rozjechali się wszyscy. Siedziałem w odrętwieniu, nie zmieniając postawy, powtarzając martwiejącemi usty:

— Magdalena umarła!

Pewnej nocy — była to pierwsza albo druga noc od śmierci Magdaleny — poszedłem jej szukać. Długo snułem się po korytarzach, pukałem do jej sypialni. Przyłożyłem ucho do drzwi, lecz nikt nie odpowiadał. Błądziłem w świetle księżycowem, marząc o jasnych włosach Magdaleny i jej oczach, które w zdumieniu rozwierały się tak głęboko i złociście. Nareszcie znalazłem mały pokój nizko sklepiony, gdzie ją postawiono w trumnie wśród żółtych świec.

Zdawało mi się, że ona śpi, że śpi na wieki. Pomimo to żyje jednak i usłyszy mnie. Wpatrywałem się długo w jej twarz nieruchomą, w jej usta cicho złożone. Nareszcie zacząłem mówić. Oto słowa z tej godziny, które spamiętałem:

„Kochałem cię Magdaleno. Nigdy nie całowałem twoich ust ani twej ręki. Byłaś mi świętą. Czciłem cię. Wzgardziłaś mną. Odeszłaś nazawsze — bez ostrzeżenia! Trzeba

http://rcin.org.pl

ci było poczekać jeszcze. Moje serce mogłoby ci nakazać jutro, abyś została ze mną. Ale ty nie słuchałaś serca. Zraniłaś mnie, Magdaleno, twoją śmiercią okrutną. Wieczną mi w piersi zasiałaś tęsknotę... Podeszłaś mnie... Nie wysłuchałaś a potępiłaś...

O moja droga Magdaleno, ocknij się! Wstań ty do mnie! Wspomnij nasze spotkanie ostatnie: ja je noszę teraz w pamięci nazawsze! Siedziałem, moja droga, myśląc o tobie w pokoju, gdzie meble lekko przykurzone, podłoga skrzypi, gdy się poruszyć, a zwierciadło, w którem się oglądałem, patrzyło na mnie zdziwione. Pamiętasz, Magdaleno, małe obrazki owalne, zczerniałe nieco? Na jednym złote pszczoły obsiadły błękitną suknię księżniczki, na innym — wąż zwisa w dół głową — nad kolanami śpiącej dziewczyny. Promień słońca zaigrał wtedy na kryształach przy lampie. Nikła tęcza zalśniła i zgasła. Zrobiło się ciemniej w pokoju, jakby dech cięższy przewiał. Na cichych złotawych skrzydłach przefrunął mól. I ukazałaś się Ty, a ja uczułem zdala na ustach jakby pocałunek cichy, gorący, święty... Ach, powiedz mi, Magdaleno, powiedz, czemuś umarła?!"

Potem zapaść musiałem w osłupienie, które

http://rcin.org.pl

odbierało mi przytomność, a gdym się ocknął, spojrzałem na trumnę. Była pusta. Gdzież jest Magdalena? Ach, tak! To ja bezwiednie dźwignąłem ją z grobu, to ja trzymałem ją wówczas w objęciach, siedząc na czerwonej jak krew kanapie, która stała w tym pokoju Śmierci, to ja obejmowałem ją, jak żywą kochankę, tuliłem i całowałem w zimne usta, to ja szeptałem w uniesieniu, płakałem i błagałem, aby ożyła, by rzekła słowo, by powiedziała mi nareszcie, czemu umarła!

I gdym tak — pełen niewysłowionego obłędu i dzikiego, rżącego szczęścia — pieścił umarłą w blasku świec żółtych i milczeniu nocy, otworzyły się zwolna małe ciężkie drzwi i stara zgarbiona kobieta, przywalona ciężarem, który ją zginał we dwoje, ukazała się na progu. Nigdy nie zapomnę nieludzkiego krzyku, który się wydarł z jej ust bladych i zwiędłych, rozdzierając ciszę i mrok. Gdy zgasł — wydało mi się, że wszystko naokół — pokój i dwór za oknami, zalany światłem księżycowem — załkało boleśnie i umilkło przerażone. I wśród tej ciszy rozległ się suchy łoskot ciała starej kobiety, padającej na posadzkę kamienną.

Siedziałem struchlały, z roztwartą kurczowo gębą i rękoma, które opadły bezwła-

http://rcin.org.pl

dnie z szyi umarłej. I dopiero wówczas w leżącej nieruchomo kobiecie poznałem panią Hould, postarzałą nagle, w ciągu tych kilku dni, o lat pięćdziesiąt, zdruzgotaną nieszczęściem, głęboko zgrzybiałą, tragicznie zeschłą i bezsilną. Poznałem panią Hould, która przeżyła raz śmierć swej piękności, a potem — po raz wtóry tę samą śmierć w śmierci Magdaleny, a która wreszcie — na widok mej oszalałej miłości i pieszczoty — umarła!

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

OSTATNI WIECZÓR KSIĘŻYCOWY BŁAŹNA.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Morze szumiało głęboko w dole, a wysoki brzeg zapadał stromo. Fale szły i rozbijały się o ląd. Pas białej piany drżał w cieniach wieczoru. Czasem zalśniła otchłań kipiącem srebrem, lub zajaśniała płomieniem ametystowym.

Skurczony błazen siedział na wybrzeżu obok schodów marmurowych, które zbiegały aż do powierzchni wód. Podparł głowę rękoma, a pokurczoną twarz utkwił w odległym widnokręgu, gdzie odrywała się cicho pełnia. Wytaczała się z głębi, lśniąca i mokra, strzelała wachlarzami promieni po migotliwych falach. Wychodziła z morza jak naga kobieta, a gdy się wzniosła, okrągła i jarząca, załaskotała serce błazna melancholją marzenia. Wydało mu się, że jej krąg jest jasną bramą, z której wyleciało dwanaście śnieżnych łabędzi, a każdy łabędź niósł w dziobie zieloną świeżą gałązkę z białym kwiatem.

Smutek przytłoczył pierś błazna. Zaczął myśleć o wspaniałym pałacu, który stał o pół godziny drogi od brzegu i gdzie upływało

http://rcin.org.pl

dotąd jego życie. Pałac marmurowy z lasem kolumn, ze srebrzystą lamą wieżyczek, z kryształami okien i wyrafinowaną mozajką ścian, był mieszkaniem starego króla i królewicza. Lecz stary król umarł niedawno. Złożono go w podziemiach zabalsamowanego. Tam leży z berłem w dłoni, z brzuchem wypchanym wonnemi ziołami. Królewicz, lubiący się śmiać młodzik, został królem. Różnica pięciu lat wieku między nimi, a jakże wielka różnica położenia i stanowiska! Król piękny, zdrów, bogaty i wszechwładny. Każdy kaprys jego staje się prawem. Najpiękniejsze kobiety otaczają go wieńcem łon falujących. Każda czuje się szczęśliwą, gdy raczy spojrzeć na nią. A on brzydki, garbaty, z pucołowatą twarzą miedzianą, z oczkami, tonącemi w wązkich szczelinach, z nosem zadartym i śmiesznym, jak zabawka dziecięca. A jednak ten bogacz urodziwy żądał od błazna wesołości! Chciał się śmiać i śmiał się przez błazna. Gdy był pacholęciem, wskakiwał mu na garb i jeździł okrakiem, smagając śmieszka batem. Gdy był młodzieńcem, błazen w pstrym stroju, ku uciesze królewicza, stawał na czworakach i szczekał na dworzan, udając mopsa. Gdy król skinął, śmiał się, rozdziawiając gębę od ucha do ucha, stroił miny, tarzał się po posadzce,

http://rcin.org.pl

trzymając się za brzuch i udając otrutego. Rozdymał policzki, pokazując księżyc, wychodzący z za wzgórza, albo naśladował kwakającą żabę. — Kwa! kwa! kwa! — darł się z całej piersi, wytrzeszczając zabawnie oczy. Gdy przechodziła panna dworska — królewicz kazał mu udawać zakochanego, mizdrzyć się, wspinać na palce, sięgać wysuniętemi naprzód wargami do świeżego ramienia, aż zniecierpliwiona dziewczyna wymierzała mu policzek. Błazen przewracał się i toczył jak kula pod nogi śmiejącego się do rozpuku królewicza.

Tak biegły lata. Gdy król zasypiał i kończyła się służba trefnisia, szedł błazen do pokoju swego na wysokiej wieży, otwierał okno i, patrząc na morze niezmierzone, grał na flecie.

Dziś właśnie wrócił król z sąsiedniego państwa, przywożąc ze sobą młodą żonę. A gdy para nowożeńców wjeżdżała do zamku, grali radośnie heroldowie na srebrnych trąbach, powiewały chorągwie, działa grzmiały, aż morze, zdawało się, odpowiada rykiem fal na łoskot wystrzałów. Królowa wyszła ze złocistej karocy i przeszli oboje, dumni, piękni i uśmiechnieni, po drodze, szkarłatnym słanej suknem, wśród podwójnego szeregu dworzan i dam, chylących przed nimi głowy w klejnotach.

http://rcin.org.pl

Teraz błazen siedział nad morzem i myślał o pięknej królowej. Była cudna, jak żadna z pań, które widywał dotąd. W uchu jego słodko szeleściła jej szata. Ponura tęsknota gryzła mu serce...

... Wszyscy śmiali się — myślał — a nikt nie ostrzegł. Nikt nie wziął mnie za rękę, nie zajrzał do oczu jak przyjaciel, nie szepnął ostrzegawczo: baczność! Dzwoniły godziny, szły jedna za drugą, pełne gadania, czczego szelestu słów, dworowania i pustoty. Dość błaznowałem przez życie. Teraz chcę miłować. Będę czcić, kochać, gorzeć w zachwycie! Mam prawo żyć tęsknotą, która oto schodzi z głębi mego serca, bije słupem ognistym w głąb Niebios i sięga dna Piekieł. Teraz dopiero ujrzałem, że i ja jestem Wędrowcem, że kroczę po wielkiej dolinie. Z jednej strony szemrze mi sad niebieski, a z drugiej huczą czeluści piekielne. Jakże się to stało, żem nie widział dotąd swej duszy? Królowa dobroczynna spojrzała i przejrzałem... Najcudowniejsza, najwyższa i najcichsza godzina nadeszła, gdym ujrzał królowę. Zdaje mi się, że byłem niegdyś szczęśliwy, lecz zapomniałem o tem. Ona przywróciła mi pamięć. Bądź zawsze tak piękną, królowo, abym w twojej obecności postradał trzeźwość zmysłów i du-

http://rcin.org.pl

szę odnowił. Uczyń mnie tak szczęśliwym, abym, zajrzawszy w źwierciadło, nie poznał siebie ...

Rozmyślał tak długo, a wieczór stawał się cichszy. Morze się uspokoiło. Leżało u stóp jego nizko, ledwie kołysząc się jak zwiewna przędza srebrna, rozciągniona aż po kresy widnokręgu. Marzyło jak usta kochające, gdy czekają na pocałunek.

Nagle usłyszał za sobą błazen dźwięki muzyki królewskiej. Był to orszak monarszy. Na przodzie trzech trębaczy z marzącą melodją na przytłumionych misternych trąbkach. Dalej król i królowa, wziąwszy się za ręce, jak dwoje ludzi prostych, którzy się kochają, a na końcu kilku ulubionych dworzan, dwa olbrzymie charty i garść rycerzy z małym sztandarem królewskim. Zwyczajna skromna przechadzka na brzeg morza!

Obrócił się błazen i zapatrzył w twarz królowej. Marzenie jego prysło! Lodowata fala zwątpienia uderzyła go i powaliła w rozpacz!

Zapóźno! Zapóźno! I pocóż ci służba u króla? I śmiech, który budzisz w ludziach? Czy warto żyć, jeśli nie jest twoją, ani nią będzie kiedy?

Król szepnął coś do ucha małżonce.

Oboje stanęli blizko, o dwa kroki od niego.

http://rcin.org.pl

Król sądził, że zapatrzenie się śmieszka na królowę jest wstępem do nowego niesłychanego żartu. Uśmiechał się zachęcająco. Królowa też patrzyła i czekała.

Błazen otrząsł się z goryczy. Nie widział teraz i nie czuł nic prócz czarownej piękności monarchini. Obezwładniała go. Jej wzrok jak cudowna muzyka wchodził przez oczy do jego duszy — tam śmiał się, pląsał i śpiewał w urocznem upojeniu!

Milczał błazen i patrzył.

— No! — rzucił król niecierpliwie.

— Wszystko, co robi błazen, błazeństwem się staje — pomyślał trefniś. — Moje rzemiosło pożarło mnie. Król, ledwie spojrzał na mnie, już chce krotochwili.

Dopiero teraz spostrzegł monarcha, że błazen ma oczy. Były to oczy pełne żałosnego nieszczęścia — które wiedzą, że tylko w otchłani Śmierci znaleźć można ukojenie. I nagle te oczy krzyknęły z zachwytu. Na mgnienie stały się mądre i szczęśliwe.

Król spojrzał piorunująco w źrenice błazna, a potem w twarz królowej.

Królowa zapłoniła się i zadrżała. Zdawało się, że mówi: Cóżem ja winna?

— Ha, a więc to tak? — warknął król w duchu. — Mój pies równa się z królem... Spoczął

http://rcin.org.pl

brudną myślą na królowej. Chce być ten knur jak król... oczarowanym... Chce pić z tej samej czary! O królowo! O moja pani nadziemska, czyż i przed błaznem ma król strzedz twej piękności? Już marzy zapewne o tem, że otruje króla, siądzie na tronie i w pianach swego błazeństwa utopi oburzenie ludu, prawdę i piękno hierarchji! Ten padalec obudził się nareszcie i chce gryźć krzywymi zębami!

— Zaiste mój król — myślał trefniś — sam jest jeszcze błaznem wobec morza, więc nie chce marzenia: chce być bawiony.

— No, dalej! — sarknął niecierpliwie król, trącając błazna nogą.

— Ledwiem zamarzył być człowiekiem — już król kopie mnie — pomyślał błazen.

Kipiącemi uwielbieniem oczyma a milcząc patrzył na królowę. Nie słyszał głosu króla ani jego rozkazów.

— Królowo! — przemówił nagle, jakby wbrew wiedzy i woli. — Zrób to, czego Bóg zaniechał: uczyń mnie szczęśliwym.

Wtedy król kopnął go z całej siły w piersi.

Błazen wydał okrzyk bólu i trwogi i, koziołkując w powietrzu, zwalił się w morze.

Zapadł w fale i, borykając się rozpaczliwie, wypłynął. Jego pierś rozbita chrapała i skowyczała. Spojrzał po morzu spokojnem, jak

http://rcin.org.pl

srebrna równina i zwrócił oko na brzeg. Wysoko nad sobą ujrzał głowy króla i pięknej królowej, zawieszone nad krawędzią urwiska. Śmiali się oboje. Królowa wskazywała nań palcem, na którym lśnił rubin.

Pogrążył się znowu, lecz wychylił jeszcze i szerokiemi ustami krzyknął:

— Niech żyje królowa!

Potem woda zalała mu gardło.

Król kazał wydobyć jego trupa i pochować z błazeńskimi honorami. Ubrano go w pstrą szatę bufiastą, włożono flet w usta, policzki pociągnięto farbą różową, na końcu nosa zrobiono ciemną plamę z karminu. Pogrzebano trefnisia na wydmie piaszczystej, poczem król kazał ogłosić konkurs na nowego błazna.

http://rcin.org.pl

SYN MARNOTRAWNY.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Kiedy Syn Marnotrawny przybył na dwór króla Zielonopłaszcza — pierwszym, kogo spotkał, był opasły opat — Gardzipluj. Przechadzał się on w cieniu kasztanów i, gdy ujrzał młodzieńca, skinął nań ręką, by podszedł. Pomiędzy starym smakoszem a Synem Marnotrawnym zawiązała się rozmowa, z której wyszło na jaw, że opat kocha ludzkość, lecz nic młodzieńcowi pomóc nie może, ponieważ wszystkie miejsca na dworze królewskim — od kuchcika do kanclerza — są zajęte i niema nadziei, by ktoś z sympatji do nieznanego młodzieńca raczył umrzeć . Bądź co bądź, rozpytywał opat pilnie, jakie talenty posiada Syn Marnotrawny. Pisanie sonetów nie wzruszyło go, gra na lutni wywołała ziewnięcie, haftowanie wywabiło na twarz mnicha uśmiech zdziwienia, lecz kiedy Syn Marnotrawny oświadczył, że umie wybornie przyrządzać sałatę i zna doskonały sposób potęgowania smaku szparagów, oraz posiada sporo innych tajemnic kulinarnych — starzec uczuł się

http://rcin.org.pl

wzruszonym i, drepcząc pospiesznie, poprowadził młodzieńca w kierunku swych apartamentów. Przez drogę rozpytywał go, w jaki sposób zdobył tak cenne wiadomości. Syn Marnotrawny opowiedział mu historję swej miłości do młodej kobiety — Eufrozyny — która uwiodła go, nauczyła rozpusty i odsłoniła przed nim tajniki wiedzy kulinarnej. Dla niej to okradał ojca, sprzedał między innemi sześć łyżek srebrnych ⟨od tuzina!⟩ z rodzinnej zastawy stołowej, aż w końcu zgubne zamiłowanie do klejnotów matczynych, wdzięków Eufrozyny ⟨widocznych i ukrytych⟩ oraz niepoprawne hultajstwo sprawiły, że wyklęto go na radzie familijnej i poniekąd zmuszono do opuszczenia rodzimego miasta. Korzystając ze sposobności, Syn Marnotrawny prosił opata, by ten dał mu rozgrzeszenie z grzechów wyznanych oraz innych, których sobie nie przypomina. Gdy rozgrzeszenie zlało się na jego głowę, zabrał się raźnie do przyrządzania sałaty i szparagów, które ojciec duchowny spożył, mlaskając zamaszyście językiem. Po posiłku opat zapadł w głęboką zadumę, z której się wreszcie ocknął i rzekł:

— Mój synu, sałata, którą mi przyrządziłeś, była wyborna. Szparagi również. Obiecuję ci wyjednać audjencję u króla z warunkiem,

http://rcin.org.pl

że, dopóki będziesz przebywał na dworze jego królewskiej mości, zechcesz być moim doradcą kulinarnym.

* * *

Posłuchania na dworze Zielonopłaszcza odbywały się w słynnej sali z zielonego malachitu, gdzie w głębokich wnękach lśnią olbrzymie zwierciadła. Król zasiadł na szczerozłotym tronie. Był to mężczyzna czterdziestoletni. Nie można mu było nic zarzucić, prócz braku łydek i czoła. Łysinę, w wieńcu wyblakłych włosów, osłaniała korona królewska. Otaczało go dwunastu szambelanów w strojach kanarkowych, gwardja w złoconych hełmach z pstrymi pióropuszami, bogata szlachta w ubiorach wszelakiej barwy, prócz uprzywilejowanej zielonej — barwy królewskiej. Dwunastu karzełków, przebranych za śmieszków i arlekinów, czyniło gwar i uprzyjemniało chwilę.

Po drugiej stronie stał tron królowej. Odezwała się lekka muzyka i śpiew niewidzialnego chóru. Wbiegło dwanaście tanecznic, przebranych za motyle, rzucając kwiaty po drodze, którędy stąpać miała monarchini. Oto weszła i ona. Strój jej był z szafirowego aksamitu, na szyi ⟨łabędziej piękności!⟩ bieliły się trzy rzędy wielkich pereł.

http://rcin.org.pl

Król skinął łaskawie na Syna Marnotrawnego. Po złożeniu trzech przepisanych przez etykietę ukłonów młodzieniec stanął w pozie, która świadczyć miała o gotowości odpowiadania na każde zapytanie królewskie.

— Zacznijmy od piosenki — rzekł król — piosenka jest duszy kąpielą i orzeźwieniem. Wystąp, pieśniarzu...

Pieśniarz, pobrzękując na gitarze, zaśpiewał:

Dziewczyna do mnie zastukała...
Otwarłem: twarz jej we łzach cała...
Pytałem: »Czemuś smutna pani?«
— »Kochanek serce moje zranił...
Zdradzonam... Skargą płacze łono
(A do całowań wargi płoną)
Me ciało smukłe — w szat ogrodzie —
Lśni, jak złocista róża w chłodzie.
Cudne mam piersi i kolana,
Patrz: taka jestem — rozebrana!«
W płomieniach wiło się jej ciało,
Słyszałem: serce jej płakało.
Patrzyłem na płonące lice,
Dawałem złote zausznice...
— Nie złota chcę ja — lecz rozpusty,
Szyję mą jeszcze popieść usty...
Niechaj na skóry mej atłasie
Głód oczu twoich się napasie...
Niech ogień trawi moje ciało,
Byle mi serce pozostało...

Gdy pieśniarz skończył, król rzekł:

— Ta dziewczyna, o której tu śpiewano,

http://rcin.org.pl

jest nieco sentymentalna, pomimo krwi gorącej. Dobra to piosenka, jakkolwiek rymy: „pani" i „zranił" nie należą do klasycznych. Ale mniejsza o rymy... Przejdźmy do spraw bieżących... Cudzoziemcze, jak ci się podoba moja małżonka?

Cały dwór zrobił minę, jakoby ogromnie się zdumiewał nad mądrością królewską. Syn Marnotrawny spoczął oczyma na twarzy królowej.

Monarchini wydała mu się piękną. Aksamitna białość jej cery, ogień oczu i śnieżność piersi podziałały na młodzieńca, jak ostroga na rumaka. Uczuł się wyzwanym. Wyprostował się i rzekł:

— Najjaśniejsza pani jest tak piękna, że chciałbym zostać jej kochankiem...

Król skrzywił się, jak człowiek któremu wsypano garść soli do ust. Zdawało mu się, że się przesłyszał. Czekał.

Ale Syn Marnotrawny milczał.

Zimny pot gniewu wystąpił na czoło królewskie. Powieki zaczerwieniły się i zamknęły. A gdy się znów podniosły, oczy króla były jakby zalane mlekiem.

Twarz królowej zapłonęła rumieńcem. Jej dworaczki stanęły również w łunach. Szlachta pobrzękiwała orężem.

http://rcin.org.pl

Król poruszył ustami, lecz nie wyrzekł nic. Podniósł ręce ciężkie jak z ołowiu — tak gniew na nich zaciężył — i zaklaskał. Dwóch czerwono ubranych zbirów wyszło z za kotary. Król wskazał na zuchwalca. Powleczono go do więzienia.

* * *

Syna Marnotrawnego oddano pod sąd za obrazę majestatu. Prawo było surowe. Młodzieńcowi groziła kara śmierci przez zaduszenie obręczą żelazną. Miał jednak nadzieję, że opat będzie się starał o ułaskawienie. Istotnie, zacny ten starzec wszedł pewnego dnia do gabinetu króla — właśnie w chwili, gdy monarcha zajęty był łapaniem much.

— Nudy, mości opacie — rzekł Zielonopłasz, obrywając skrzydła musze. — Nie lubię much! latają hałaśliwie, bzykają, siadają na nosie — nawet królewskim nosie. Ale mucha z oberwanemi skrzydłami, to zupełnie co innego. Łazi to sobie po stole, a kiedy spadnie, przewraca się do góry brzuszkiem i jak niemowlę wywija nóżkami. Zajęty jestem, jak widzisz, przekształcaniem drobnej części natury. Ale co cię sprowadza?

— Szlachetny królu — przychodzę szukać w twem wspaniałomyślnem sercu litości dla

http://rcin.org.pl

nieszczęśliwego młodzieńca, którego piękność pani naszej królowej uczyniła zbyt zuchwałym.

— Więc ten młodzieniec żyje jeszcze? — spytał król ziewając.

— Czeka w więzieniu na łaskę twoją, szlachetny monarcho.

— Ależ powiedz mi, opacie, co ci daje prawo zanudzać mnie podobnemi błahostkami? Wszakże ów młokos i tak nieśmiertelnym nie jest? Jeśli umrze nieco wcześniej, będzie to tylko skutek zaniedbanego wychowania i nieznajomości etykiety dworskiej.

— Szlachetny panie, winowajca jest cudzoziemcem. Być może, że w kraju, skąd pochodzi, takie odezwanie się wobec królowej nie jest rzeczą występną. Wiemy przecie, że obyczaje różne są w różnych krajach. Nie taję przed wami, najjaśniejszy panie, że winna tu głównie młodość i krew wrząca, oraz owa nadzwyczajna zapalność a wrażliwość na wdzięk niewieści, któremi widocznie odznacza się ten młody cudzoziemiec. Nie będę się również krył z tem, że zasługi moje wobec państwa i tronu warte są chyba nagrody. Ten chłopiec tak cudownie przyrządza sałatę — nie mówiąc już o innych daniach — że byłbym bardzo szczęśliwy, mogąc go za-

http://rcin.org.pl

chować dla siebie w charakterze swego przybocznego doradcy kulinarnego.

Król się zasępił i zaczął zastanawiać nad zbrodnią młodzieńca, poczem rzekł:

— Mości panie! Wszechstronne i głębokie zbadanie w myśli sprawy młodego cudzoziemca doprowadziło mnie do wniosku, że nie zawinił on znów tak bardzo. Wyznałbym przed tobą wszystkie moje przywary, opacie, ponieważ nie jesteś królem, a król tylko równego sobie — króla — wstydzić się powinien. Podłe łaszenie się i pochlebstwo doprowadziło mnie do nieufności względem wszystkiego. Nie wiem, co sądzić o rzeczach tego świata, nie wiem również, czy piękność królowej nie jest złudą mych obałamuconych zmysłów. Od dworaków, nie wyłączając ciebie, szanowny Gardzipluju, trudno mi spodziewać się czegoś więcej prócz bezczelnego kłamstwa. Zuchwalstwo młodego cudzoziemca — jeżeli mam wyznać prawdę — orzeźwiło mnie: usłyszałem nareszcie głos człowieka, którego nie krępowało wyrachowanie, człowieka wolnego i nieprzebierającego w wyrazach. Będę szczery: byłbym mu wdzięczny, gdybym nie był królem. Królewskość zabija we mnie normalne poczucie ludzkie. Lecz chcę się przemóc. Cóż mi przyjdzie z jego śmierci: z powodu po-

http://rcin.org.pl

dagry i dżdżystej pory roku i tak nie mógłbym być obecny na egzekucji. Gardzipluju, twój protegowany będzie wolny. Prócz tego postaram się, by zajął na moim dworze stanowisko, odpowiadające wartości jego charakteru. Pomyślę o nim, opacie.

Tu wszedł czarno ubrany szambelan i, złożywszy przed królem trzy przepisane ukłony, rzekł z posępną miną i głosem:

— Najjaśniejszy Panie, kanclerz państwa, udławiwszy się kostką kapłona, przed chwilą żywota dokonać raczył.

Król zakrył twarz dłońmi, po chwili szepnął:

— Tak chce niebo i ja... ‹A przytem — co za niespodzianka dla moich ukochanych dworzan!›

Na drugi dzień dekret królewski mianował Syna Marnotrawnego kanclerzem państwa.

* * *

Stanowisko kanclerza zaskoczyło Syna Marnotrawnego zbyt niespodziewanie. Sądził z początku, że nie podoła trudnemu zadaniu. Wezwał jednak na świadki niebo, że zawsze, ilekroć stykał się z życiem społecznem, widywał bezczelność i głupotę, ubrane w strój ceremonjalny, i zuchwale wkroczył do gabinetu, gdzie ważyły się losy poddanych Zielonopłaszcza.

http://rcin.org.pl

Natężał własny mózg, a oprócz tego starał się otoczyć ludźmi, których natura nie upośledziła na umyśle. Słuchał chciwie rad i doświadczenia. Starał się wycisnąć słodycz nawet z soków zatrutych...

Królowa wzięła Syna Marnotrawnego pod swoją opiekę. Gdy zasiadał na stolcu kanclerskim, w grubym łańcuchu na szyi i uroczystej skędzierzawionej peruce, przeglądając z miną posępną papiery wobec wyprostowanych jak drągi pokojowców, dawał się nieraz słyszeć szmer sukni jedwabnej i wchodziła najjaśniejsza pani z uśmiechem na ustach, z poza których białe lśniły zęby. Przeglądali razem sprawy urzędowe, a gdy wyczerpano porządek dnia, znikali drągale-pokojowce, a Syn Marnotrawny zostawał sam na sam z królową.

— Obawiam się, najjaśniejsza pani, czy wysoki urząd nie zepsuje mego charakteru. Słyszeć ustawicznie pomruk pochlebstwa i czuć, że serca wszystkich są przed tobą zamknięte, że za płaszczący się uśmiech każdy pragnąłby rzucić ci kamień pod nogi, aby cię ujrzeć powalonym, czyż to jest dobra szkoła życia w chwili, gdy się ma lat dwadzieścia pięć i czuje się w głębi piersi nieustanne nurtowanie tęsknoty...

...Do czego? — pytasz pani... Do kwiatów

http://rcin.org.pl

na wzgórzu... Do drogi w lesie, gubiącej się wśród sosen i szafirowych (!) paproci... Do ptaka, który ulata na spotkanie obłokom... Ach, nie będę się krył przed tobą, najjaśniejsza pani, do białych rąk i twarzy tych wszystkich młodych kobiet, z których każda mogłaby mnie kochać, a żadna — nie kocha mnie...

— Czy pan pisze pamiętnik? — spytała królowa.

— Nie, pani.

— Zacznij pan pisać. Jesteś poetą. Czemu tyle pięknych wzruszeń ma ginąć daremnie. Będę go odczytywała razem z tobą. A jeżeli tak bardzo pragniesz życia, natury i świeżych powiewów — wszystkie drzwi przed panem są otwarte. Wieczór się zbliża, dzień jest piękny. Złóż pan te foljały. Pójdziemy przez ogród na brzeg rzeki i dalej w głąb lasu, gdzie król dawniej lubił polować. Może upoluje pan jaką nową tęsknotę i spłynie zaszczyt na królowę, że była wtedy z panem. Doprawdy, interesuje mnie charakter pański.

* * *

— Cóż to za dziwny ogród na tem zboczu górskiem? — spytał Syn Marnotrawny. — Drzewa owocowe stoją, a żaden parkan nie osłania ich przed złodziejem. Niektóre z kory

http://rcin.org.pl

obdarte, obszerne dziuple, pełne próchnicy, wykroty omszałe. Stado kruków krąży nad niemi. Ziemia w wielu miejscach wyłysiała, a w innych zarosła ostem. Nigdy nie widziałem tyle ostów i łopianów. A ten staw zakrzepły, jak kaprawe oko starca?

— To Pusty Sad — rzekła królowa. — Ma on swoją historję. Ale naprzód zwiedzić musimy kotlinę Siedmiu Źródeł.

Po kilku minutach — usiedli. Wysoka skała, na której płomieniły się maki i głogi, otaczała ich półkolem. Siedm źródeł tryskało z białawych rozpadlin, wypełzało srebrnemi strugami z pod ziemi i zlewało się w jeden jasny czysty strumień.

Maleńki ptak przyfrunął, aby się wykąpać. Trzepotał, mył piórka. Pośpiewywał sobie, nie zwracając uwagi na królowę i Syna Marnotrawnego.

— Widziałeś pan Pusty Sad ... Niegdyś był to ogród wielki i piękny. Po stawie pływały łabędzie. Córka królewska — miała być przedziwnej urody — zakochała się w paziu. Wielu możnych rycerzy i jasnych panów starało się o jej serce i rękę. Ale ona kochała tylko pazia. Widywali się codzień, w ogrodzie. Raz nie zastała go na zwykłem miejscu. Zaniepokojona szła z biegiem strumienia i za-

http://rcin.org.pl

szła aż tu do Siedmiu Źródeł. I cóż ujrzała? Na skale w blasku księżyca siedział paź, a siedm nagich kobiet pieściło go i całowało. Królewna krzyknęła i upadła. Serce jej pękło. Umarła. Odtąd sad zagłuchł. Kruki nadleciały. Zarósł głuchą wysoką trawą, w którą spadają pęknięte owoce, a nikt ich tknąć nie śmie, jak ust zarażonych. Jest w tym sadzie kamień, poświęcony jej pamięci nad zakrzepłym stawem. Odtąd wielu mężczyzn chodzi pokryjomu do Siedmiu Źródeł w nadziei, że nagie kobiety ukażą się znowu i popieszczą. Czy wie pan, że raz zastałam tam nawet... Zielonopłaszcza!...

Królowa zaczęła się śmiać. Syn Marnotrawny również się uśmiechał.

Ta pierwsza wycieczka z królową napełniła go radosną otuchą. Gdy usiadła — już późnym wieczorem — na ławce i księżyc napełnił cały ogród przedziwną atmosferą milczenia i zadumy , młodzieniec, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, ukląkł u jej stóp i pochylił głowę. Jego młodą duszę przepełniała tęsknota, słodycz i zapamiętanie...

— Więc to jest miłość?... — szepnęła królowa.

On nie rzekł nic. Chciał, żeby stanęły wszystkie zegary na wieżach i jego serce.

http://rcin.org.pl

Pragnął, żeby zamilkł turkot oddalonego wozu, głos koguta, opiewającego godzinę nocy, szmer liścia, trzepot owadu.

I udało mu się wysiłkiem woli stłumić na chwilę wszelki głos i przebywać w królestwie zaklętej, uroczystej ciszy.

Szelest kwiatu przerwał milczenie. To z łona królowej spadła ciężka wonna róża i musnęła go po twarzy.

Podniósł kwiat i chciał oddać, lecz ona nie wzięła go.

Usłyszał nagle, jakoby obudziła się noc. Sowa krzyczała żałośnie. Księżyc zapadał w chmury, niby w czarne welony smutku. Strumień lizał brzegi z pożądliwym bulgotem.

Ujrzał w osłupiającem przejrzeniu, że królowa jest kobietą olśniewającego uroku. Dotknięcie jej ręki oblało go żarem. Nie mógł patrzeć bez namiętnego przerażenia na białość jej skóry. Jej piersi i czerwone usta wołały go.

Ogarnęła go gorączka zmysłowa o tak gwałtownem napięciu, że wszystko inne stłumione było i usunięte na bok. Przez całe tygodnie żądza ciemnego okrucieństwa i tkliwość na przemian brały go w posiadanie. Być zuchwałym lub niewolniczo uległym wobec niej stało się dziwną, upajającą potrzebą. Wiedziała o tem. Parna noc ogarniała go na

http://rcin.org.pl

widok wpatrzonych w niego szeroko otwartych oczu królowej.

* * *

Pewnego dnia Syn Marnotrawny zasiadł z Gardziplujem do uczty. Otyły opat zaczął myszkować po komnacie. Podniósł zasłony u okien, zajrzał za parawan.

— Co robisz, ojcze? — spytał Syn Marnotrawny.

— Oglądam, czy nie zakradł się tu jaki moralista. Trzeba zaprosić go do uczty, a jeżeli odmówi — wyrzucić za drzwi.

— Co do mnie, ojcze, to w dzieciństwie, czułem obawę do ciemnych wietrznych nocy, a dziś — do zbyt natrętnych zasad moralnych. Nie lubię natarczywości moralnej i patosu. Nie lubię również rozprawiać zbyt wiele o ideach, bo wtedy błądzę po omacku.

— A cóż ty lubisz, mój synu? — spytał opat.

— Lubię parę, jej siłę i pęd gwałtowny. Patrz, ojcze, jak niepohamowanie bucha z tego naczynia. Lubię ogień czysty, rozświetlający ciemności, znać o sobie dający zdaleka. Lubię jego wesołą tajemniczość, w której pląsa złoto, odblaski rubinów i ametystów. Lubię go więcej, niż obłudnicę cichą — wodę, w któ-

http://rcin.org.pl

rej śmierć czyha. Lubię obłoki, a z księżycem jestem w przyjaźni. Oddawna zachwyca mnie jego samotność i wspaniałe przygody romantyczne wśród chmur i gwiazd... Lubię kwiaty, wino, odbierające nam płaską trzeźwość i półnagie, obwieszone klejnotami — a wcale nieobłudne — kobiety, których ciało pachnie, jak pysk młodego szczenięcia.

— I ja — rzekł opat, rozkładając ręce i przymykając oczy — choć nie wypada mi mówić tego głośno. Pochwalmy Boga i zabierzmy się do jedzenia. Cóż to za zapach olśniewający tych krwistych pomidorów! Patrz, ciało tej ryby z koloru podobne jest do rubinu. Co za przedziwną, łaskoczącą lekko woń wydaje ta młoda srebrzysta cebula! Barwą przypomina cielistość i lśnienie ramion pewnej damy — jednej z powiernic królowej. ⟨Radzę ci — przyjrzyj się tym ramionom: prawdziwe to arcydzieła⟩. Dalej: z czemże się da porównać wytworny aromat ananasów? Albo podniecająca, uszczypliwa świeżość startego pieprzu? ⟨Umyślnie biorę rzeczy proste, mój synu, abyś tem snadniej widział wielkość Stwórcy nawet w tych darach, które lekceważy niejeden chudy mędrzec⟩. Cytryna rozpłakała się złocistemi łzami. Puść sobie na język jedną łzę, a sykniesz z rozkoszy, jak ukąszony

http://rcin.org.pl

przez kochankę. To wino opalowe i rżnięta misternie karafka jakże dobrze się dobrały! Weź, mój chłopcze, w palce tę wonną wstydliwą brzoskwinię i popieść jej meszek. Nie wiem, czy tak miłą w dotknięciu skórę ma górna warga królowej naszej pani ‹niech nam żyje najmiłościwiej!›

• • •

Raz Syn Marnotrawny wybrał się z królową w inną stronę — na brzeg rzeki. Zawiewał wietrzyk i woda się siała. Nagle w miejscu zacienionem krzewami natknęli się na trup topielca. Sine, mokre plamy na policzkach, a z pośród ciemnych i spuchniętych dziąseł patrzyły zęby krzywe i ostre.

Był w ociekających łachmanach. Roje lśniących much unosiły się nad otwartą gębą.

Przez rzekę widać było ogród willi podmiejskiej. Młoda panna w różowej sukni siedziała na huśtawce. Obok stał młodzieniec. W jednej ręce trzymał wachlarz, drugą — popychał deskę.

Kanclerz państwa na ten widok uczuł się niezmiernie wymownym:

— Cóż to za biedak leży tu na piasku z gębą tak śmiesznie otwartą, a muchy roszczą sobie do niego hałaśliwe pretensje? Wi-

http://rcin.org.pl

docznie nędzarz, któremu sprzykrzyło się sypiać pod arkadami mostów i karmić swem ciałem trzodę robactwa. Zapewne jeden z tych, których świat miętosi po więzieniach. Już od urodzenia podstawiono mu nogę, obdarzając, naprzykład, pięknym, dziedzicznym nałogiem nieuleczalnego pijaństwa. Później wyzyskiwano srodze każdą jego słabą chęć pracy społecznej, aż biedaczysko dorobił się silnej neurastenji. Ileż głuchych walk stoczyć musiał ten człowiek z demonem życia, zanim uległ i stoczył się w paszczę śmierci. Ileż głupstw sentymentalnie moralnych obiło się o te uszy opuchłe, które już oto ponadgryzały robaki. A może jest to naiwny kochanek lub mąż, który w ten sposób niewinny chciał pomścić zdradę niewiernej? I oto leży jak kloc, podczas gdy para zakochanych — prawdopodobnie głuptasków — deklamuje po tamtej stronie o wiecznotrwałości swych uczuć płomiennych. Patrz pani: rzeka lśni, niebo czyste jak szafir, on buja ją wśród drzew zielonych... Pieszczotliwie chłodzi jej twarz wachlarzem, a jednak, gdyby nawet kochał tak, jak nikt dotąd nikogo, nie wydrze jej śmierci dziś, jutro lub kiedyś... Och, śmierć! Nie wymkniemy się z tej matni...

Królowa zachwiała się. Objął ją silnym ra-

http://rcin.org.pl

mieniem i zapobiegł upadkowi. I niby cios w pierś wroga spadły na jej szyję usta jego — głuche, jak szczęki wygłodzonego wilka.

Otoczyła go natychmiast ramieniem i znalazła wargami jego wargi.

Gdy się wydarli z męczącego rozkoszą pocałunku — Syn Marnotrawny szepnął:

— Pani, mąż twój musi być obezwładniony.

Zatrzymała się na chwilę. Zawisła na nim spojrzeniem, w którym był biały głodny podziw:

— O, jakimż jesteś pan niegodziwcem!

— Nie jestem niegodziwcem: kocham cię!

— Ty mnie kochasz? Ty? Czy to być może?

Starał się całym wysiłkiem woli zanalizować swój stan i położenie. A więc naprzód okrzyk królowej nie był królewski. Obudził w niej marę niewolnicy, poszukującej pana. Pomyślał, że król musiał sprawić pewne spustoszenie w tej duszy i wyplenić z niej wysoką godność niewieścią. Pozatem czuł, że jego wyznanie wydarło się wbrew woli jako wierutne kłamstwo. Lecz był odurzony. Chciał rzucić się z zamkniętemi oczyma w parną przepaść, zabić rozsądek, czuć się porwanym przez olśniewający potok namiętności, runąć w głąb żywiołowej rozkoszy, jak w krater

http://rcin.org.pl

wulkanu, a potem stanąć szalonemi stopami na przylądku Nowego Doświadczenia.

Nie było w nim uroczystej wiary, lecz przekorna chuć kłamstwa:

— Pani, każdy krok uczyniony przez tę poczwarę ku twojej ręce, każde dotknięcie tych ust zwiędłych do twoich dłoni mrozi mi krew w żyłach. A gdy pomyślę, że on może cię brać w ramiona i posiadać, jest to dla mnie taką torturą, że nie chcę tego znosić dłużej. Czy człowiek o zdrowych zmysłach może kanclerzem mianować nieznanego cudzoziemca, składając w ten sposób losy państwa w ręce niedoświadczone? Ach, odetnij pani od siebie ten grzyb, który trującymi sokami zaraża nas oboje. Trzeba się odgrodzić od jego szaleństwa i ekscentrycznych niespodzianek, jakie zgotować może ludowi.

Dalszy ciąg spisku utonął w zaklęciach i pocałunkach.

— Dziś przed północą — rzekła wreszcie królowa — Zielonopłaszcz zostanie osadzony w wieży dla obłąkanych. Zrobię to przy pomocy oddanego mi bez pamięci kapitana gwardji pałacowej. Potem trzeba będzie proklamować moją rejencję. Lud — jak sądzę — przyjmie to wszystko apatycznie. A wdowa po królu — dodała, opierając się na młodzieńcu

http://rcin.org.pl

oczyma rozjaśnionemi do głębi — spróbuje przeżyć raz jeszcze tajemnicę pierwszej nocy... nieślubnej...

• • •

Około godziny jedenastej wieczorem, gdy poddani Zielonopłaszcza tęsknym wzrokiem spoglądali na łóżka, marząc o tem, że legną nareszcie pod kołdrami i pierzynami, król, po zażyciu niewinnego lekarstwa, dostał furji i lejb-medyk zaopiniował, że odosobnienie monarchy w pokoju obitym materacem wpłynie kojąco na system nerwowy władcy. Pod wpływem środków uspokajających uśmierzyła się wściekłość królewska, a o północy cisza zaległa obszerną komnatę, gdzie Zielonopłaszcz został sam z myślami o niestałości chwały królewskiej, kruchości rozsądku i obrzydliwości gwałtu.

Dwa cienie przekradły się korytarzem i przez otwór w drzwiach śledziły zdetronizowaną wielkość. Była to królowa ‹ w ciemnym płaszczu z kapturem› i Syn Marnotrawny.

Zielonopłaszcz w swym ulubionym pstrym stroju, który przywdziewał, ilekroć nie występował publicznie, siedział na podłodze i kawałkiem odłupanego ze ściany tynku kreślił

http://rcin.org.pl

słowo, którego na razie niepodobna było odczytać.

— Co on pisze? – szepnęła królowa.

Jedna lampa, zawieszona wysoko w celi więźnia, oświetlała bladą twarz, zagasłe oczy i chudą rękę króla.

— Pisze?... Zaraz pani powiem... Ach, tak, ekskról pisze:

Thalassa...

— Cóż to jest?

— To znaczy: morze... Król jest wykształcony klasycznie!

Młody kanclerz uczuł się wzruszony:

— ...Ten biedny człowiek... ten król opuszczony przez wszystkich... któremu ślina ciecze po brodzie... szaleniec zapewne... jak każdy z nas... zamknięty w czterech ścianach... resztkami myśli ściga widocznie obraz morza... Nie o zemście... lecz o morzu myśli... stał się mędrcem... Cóż uczyniłem?...

Łzami napełniły się oczy Syna Marnotrawnego.

Królowa podała mu usta:

— No — szepnęła gorącym szeptem — chodź... Uśmiechała się szeroko i cicho. Widział, że z chciwą rozkoszą wypija z jego oczu mękę sumienia.

• • •

http://rcin.org.pl

„Ach, jak ta fontanna płakała tam za oknem! Jak blade były ramiona królowej! Nigdy niebo nie było tak puste... Czy gwiazdy z niego uciekły? Czy rozdarła się zasłona, która jest kresem dla oczu i z poza niej wyjrzała straszliwa niezgłębiona pustka? Pustka tak okropna, że ptak, który się tam wzniesie, zawraca z krzykiem"...

Tak myślał Syn Marnotrawny w trzy miesięce później, gdy już okwitało drzewo cudzołożenia jego z żoną Zielonopłaszcza.

Obudził się młodzieniec i wzdrygnął. Światło wdzierało się do komnaty. — Co znaczy ta obca mi kobieta, która tak ciężko otacza ramionami mą szyję. Oczy wpół przymknięte śledzą me usta: chcą wydrzeć z nich tajemnicę, myśl najulotniejszą odrazu zniweczyć. Gdyby wiedziała że kocham świat wielką miłością — zapragnęłaby go zburzyć, aby mnie przekonać, że i potem ucałuję jej ręce, ubroczone we krwi po pachy i pełne przekleństwa. A ja, kiedy się schylam, aby wycałować jej oko — czuję w sobie duszę ptaka drapieżnego, który mierzy krzywym dziobem w źrenicę, aby ją wyłupić. Nie chcę więcej tych pieszczot, które kłapią zębami i grożą.

Wtedy to odbyła się między Synem Mar-

http://rcin.org.pl

notrawnym a królową pamiętna w jego życiu scena, w znacznej mierze — milcząca.

Królowa wstała, unikając wzgardliwie jego wzroku. A gdy się oczy ich zetknęły — zimne jej źrenice rzekły mu:

„Cóż mi do tego, jakim jesteś człowiekiem i czy nim jesteś..."

Wtedy w Synu Marnotrawnym zapalił się gniew. Czekał, co będzie dalej.

„Narzuciłam ci ciało moje. Upajam cię i gardzę tobą..."

To „gardzę" rzucone oczyma z cierpkiem, zuchwałem okrucieństwem, sprawiło, że zadygotał z wściekłości. Szczęki mu zastukały. Oczy zakipiały. Zacisnął pięści, aż paznokcie wpiły się w ciało.

Widziała to wszystko. To właśnie rozkoszą było dla niej. Napawała się. Jej oczy zajaśniały suchym blaskiem. Zaśmiała się głośno, urągliwie. Wtedy zimny dreszcz przejął ciało jego aż do rdzenia kości. Chciał rzucić się na nią, obalić ją i włóczyć po ziemi ⟨tak się czuł oszukanym przez nią, oplwanym i nadużytym!⟩. Lecz ona powstrzymała jego wściekłość świecącemi szyderczo, mocnemi oczyma.

„Nademną znęcać się nie wolno — mówił jej wzrok, a ja — mogę"...

http://rcin.org.pl

Potem przeszła do drugiej komnaty, zagłębiła się w fotelu, zakryła twarz dłońmi. Czuła, że to jeden z najpiękniejszych momentów jej życia.

Gdy wróciła do sypialni, Syn Marnotrawny siedział tam jeszcze nieruchomo, jak w osłupieniu:

— Już jesteś spokojny — rzekła. — Teraz możesz ucałować me ręce...

Była w czarnej sukni i naszyjniku djamentowym. Położyła mu na ustach ciężko swe nagie, olśniewające ręce bez klejnotów, miażdżyła mu wargi ciałem swych rąk, szeptała:

— Szukałeś może prawdy we mnie? Nie znalazłeś jej, lecz przyznaj, pieszczoty moje, choć zwodnicze, są ci potrzebne. No, rozchmurz czoło. Powtórz raz jeszcze, coś mówił tyle razy. Powiedz: „garniesz do siebie jak otchłań, a oczy masz jak pustynia"...

Milczał upokorzony. Jego wargi wpijały się z nienawistną rozkoszą w jej ciało, wiły się po niem, kąsały je...

Królowa się śmiała.

Syn Marnotrawny myślał:

„Porzucę jej ciało... Opuszczę dwór królewski i upokorzenie moje... Będę znów wolny"...

Ciężki smutek dręczył mu serce.

* * *

http://rcin.org.pl

Nie opuścił jednak dworu królewskiego. Ujrzał księżniczkę Jolantę i dusza jego zaczęła żyć w zachwycie.

— O księżniczko Jolanto, dzięki ci, że mieszkasz w tym zamku! Jakaż dobrotliwa wróżka pielęgnowała cię w dzieciństwie, że takim urokiem tchną twoje ruchy? Przebiegałem park wieczorem i myślałem o tobie. Gdym cię mijał, ujrzałem na drożynie chrząszcza, który niósł pracowicie swój pancerz zielony na grzbiecie. Obeszłaś go ostrożnie, unosząc sukni, aby nie wyrządzić mu krzywdy. Ciągle myślę o tobie... Cóż to za niewola i rozkosz upajająca! Ocaleniem mojem jesteś przed królową...

— O czem tak myślisz młodzieńcze? — zagadnął Gardzipluj, wysuwając się z za pnia lipowego. — Przysięgnę, że o kobiecie. O wieku szczęśliwy, kiedy monomanja nawet nie jest zabarwiona posępnie! Jaśnieje jak krew, uśmiecha się jak błękit! Jeżeli tylko młodzieniec przechodzi milcząc, bez spojrzenia, koło starego przyjaciela, biorąc go za krzywy pień wierzbowy, to rzecz pewna, że jest zakochany. Czy nie w królowej? No... no... Umiem uszanować tajemnicę serc młodych, choć uprzedzam: ściany tu mają uszy... O jedno proszę i radzę: nie daj się opanować, młodzieńcze: nawet królowej. Wierzaj

http://rcin.org.pl

mi, kobieta złem jest, gdy przewodzi, dobrem, gdy ulega... I ja byłem w twoim wieku, i ja kochałem — zanim się poświęciłem stanowi duchownemu. Dziś spoglądam na dzieje już przeżyte z melancholją wyprowadzonego w pole rozumu! Ileż scen, łkań namiętnych, próżności, podeptanej ambicji, znęcania się uniknąłbym, gdyby nie to, że miałem serce sentymentalne. Najbardziej podobają mi się dziś jeszcze — we wspomnieniu — te chwile, kiedy brałem kobietę i jej szatana — kobieta bowiem i szatan stanowią jedno, jak tors ludzki i kadłub koński w centaurze — i spychałem w pieniące się morze wieczności. Plusk! plusk! Padała na dół, a ja mówiłem za nią: — Niechże cię tam inny rybak wyłowi, moja droga. Rozumiesz, że owo morze to tylko przenośnia i że właściwie poprostu wypychałem ją za drzwi. Czyżby namiętność twoja do królowej, mój synu, przebywała okres wulkanicznego fermentu? Niechże się z tego jaja wykluje coś mądrego dla dobra państwa i osób wiernych tronowi...

* * *

Raz wybrała się księżniczka Jolanta na przechadzkę w lektyce. Ujrzawszy Syna Marnotrawnego, uchyliła firanki i kazała hajdu-

http://rcin.org.pl

kom przystanąć. Młodzieniec podbiegł skwapliwie:

— To pan grałeś tej nocy pod mojem oknem? To pan? Dziękuję panu. Ma pan talent muzyczny...

— Pani — rzekł Syn Marnotrawny — jaka to szkoda, że jesteś księżniczką i dzieli nas etykieta. Takbym pragnął przejść się z tobą po mieście, zajść do jednej z tych winiarni, naprzykład do tej pod „Mruczącym Kotem". Tyle mam ci do powiedzenia, że nie wiem, od czego zacząć. A może zechcesz pani przejść się kiedykolwiek ze mną incognito?

Księżniczka uśmiechała się. Widok jej ust rozchylonych, które wyginały się jak czerwony brzeg kwiatu linją falistą, obudził w Synu Marnotrawnym struny zachwytu i wdzięczności:

— Widziałem cię wczoraj, pani, po zachodzie słońca. Byłaś na łące za ogrodem — w swej cudownej sukni błękitnej. Drzewa stały cicho, jakby zataiły oddech, a murawa zakwitła uroczymi kwiatami. Przechodząc, poruszyłaś gałązkę dłonią. Weszłaś do ogrodu, potem zaśpiewałaś. Dziękuję ci, pani, za ten śpiew i tę godzinę, świętą i cudną nad wszelkie słowo...

http://rcin.org.pl

Księżniczka patrzyła nań cicho pięknemi oczyma. Potem rzekła:

— Niech mi pan przyniesie kwiat jaki niezmiernie piękny. Wszak czytałeś pan te historje o księżniczkach i kwiatach? Niech pan zgadnie, na jakiej drodze rośnie ten kwiat, którego pragnę. Chciałabym pożyć sobie z kwiatem takim choć godzinę. Wczoraj pszczoła fruwała mi koło ust. Rzekłam: — Pszczoło, czyż ja jestem kwiatem? — Wtedy odfrunęła. Myślę, że jeśli pszczoła za kwiat mię bierze, to będę mogła zgodzić się z kwiatem, który pan mi przyniesie?

Syn Marnotrawny rzekł:

— Dobrze, księżniczko.

A po chwili patrząc jej w oczy: — Ach ten wiatr nieustanny nie daje dziś ani na chwilę spokoju. Kołysze gałęźmi... Szum biegnie, wzmaga się, zamiera i znów wybucha. Ani sposób pomyśleć o czemś cichem.... Chwilami chwyta tęsknota żałosna, jak żałosnym jest rybak, kiedy ciągnie sieć ogromną, w której jedna tylko trzepoce się ryba...

Księżniczka spojrzała nań nieco zdziwiona, a on szepnął:

— Myślałem o tych pięknych oczach w noce księżycowe, gdy miesiące świecą tak błękitnie, drzewa się jarzą jakoby własnym

http://rcin.org.pl

blaskiem i wszystko jest bardzo ciche. Marzyłem o cudzie, że buchnie olbrzymie światło z niebios, ziemia się otworzy, złoty płomień jak kwiat strzeli w górę i że ty, pani, przyjdziesz... Widziałem, jak idziesz, pustą księżycową drogą, zlewasz się z nocą i giniesz w błogiem oddaleniu...

Nagle księżniczka krzyknęła:

— Ach, mój Boże, mój Boże, znowu ten kruk z nad „Pustego Sadu" przelatuje. Jego cień padł mi na twarz, jak ręka Śmierci... Żegnaj mi, młody panie, i nie myśl o Jolancie, bo Jolanta jest bardzo dziwna... Nie byłbyś z nią szczęśliwy...

Kazała ruszyć pachołkom, a Syn Marnotrawny został sam na drodze ze zdziwieniem w duszy, nad którem jak ptak lazurowy unosiło się wspomnienie jej uśmiechu.

• • •

Jolanta słyszała kroki jego za sobą. Wreszcie przystanęła i rzekła:

— Więc zawsze mam słyszeć, jak pan idzie za mną? Nigdyż serce moje nie może być samotne? Doprawdy, nie wiem, czego pan chce odemnie?

— Przebacz mi, pani, — rzekł Syn Marnotrawny. — Los jest zmienny i przyjść może

http://rcin.org.pl

dzień, kiedy już nie ujrzę księżniczki Jolanty. Niech mi pani pozwoli przypatrzyć się, jak się układają fałdy na sukni twojej, jak stąpa twoja nóżka. Stoisz mi, pani, ciągle przed oczyma taką, jak cię widziałem w starym lesie za zamkiem. Leżałaś niedbale na wznak, a dziki gołąb spacerował po twej nóżce. Ujrzawszy mnie, zmrużyłaś oczy i roześmiałaś się. Gołąb frunął i schował się w dębie, a tyś rzekła:

— Rzadko widuję ludzi takich, jak pan. Komu chce pan zrabować szczęście, że tu przyszedłeś?

Odpowiedziałem:

— Nie chcę nikomu rabować szczęścia. Przeciwnie, chcę je rozdawać, gdybym mógł. Jestem samotny i szukam. W tym gęstym borze noce muszą być głębokie. Inaczej patrzą gwiazdy w tych mrocznych ostępach. Gdy mgły wieczorem się podnoszą, schodzi samotność cichsza. Ze wszystkich ludzi najbliższy jestem siebie, a jednak tak daleki. Nie mogę zejść do siebie, więc nienawidzę się...

— Jesteś pan bardzo niebezpieczny — rzekłaś wtedy księżniczko. — Nienawidzisz najbliższego sobie człowieka. Jeżeli tak, to jakież masz uczucie dla mnie, co jestem tak daleka, nieznana i widujesz mnie od niedawna...

http://rcin.org.pl

— Ach, jak pan wybornie pamięta moje słowa! — zawołała księżniczka.

— Powiedziałem wtedy: — Jesteś, pani bardzo dziwna. W oczach masz zieloną nieobjętość puszczy. Jest w nich również rumiana jasność słońca porannego i młodego gaju. Ciało twoje pachnie mi, jak młoda brzoza. Nie jesteś ani tak ani nie. Nie jesteś podobna do innych kobiet, które zawsze składają się z szeregu tak i nie. Nieokreślona jesteś i niezmierna. Upajasz mnie tem, że piękność twoja nie ma granic...

Odtąd minęły cztery tygodnie. Budziłem się często z myśli tajemniczych i olśniewających, w dzień i w nocy. Chwytałem się nieustannie na tem, że myślę o tobie. Czy ty myślisz czasem o mnie?

Ponieważ księżniczka nie odpowiadała — zajrzał jej w źrenice, aby z nich myśl wyczytać. Ale ona zamknęła prędko oczy i zacisnęła powieki.

— Dobranoc pani — rzekł Syn Marnotrawny.

— Już pan odchodzi? — zapytała z zamkniętemi oczyma.

— Tak, odchodzę. Będę o pani myślał... Czy pani chce tego?

— Nie, nigdy panu nie powiem, czy chcę,

http://rcin.org.pl

bo, gdybym powiedziała, to może musiałabym pana pokochać... Ach, niechże pan już raz odejdzie!...

Podniosła powieki, gdy kroki jego ucichły. Spojrzała po drzewach, po ścieżkach i kwiatach. „Niedawno byłam jeszcze małą dziewczyną — pomyślała. — Pędziłam obręcz przed sobą i nie potrzebowałam myśleć o niczem trudnem do odgadnienia. Czy on naprawdę mnie kocha?"

* * *

Syn Marnotrawny siedział w ogrodzie, gdy dzień się kończył, i tak rozmyślał:

„Powierzać losy państwa młodzieńcowi jest rzeczą niebezpieczną. O czem bowiem, pomimo wielkiej sympatji do ludzi, rozmyśla taki jak ja urwis nad wieczorem? Czy o poprawie kodeksu karnego albo o nowych drogach bitych dla ludu? Ani trochę. Przeciwnie, o sobie, zbyt może często o sobie. Przebiega w pamięci dzieje lat ubiegłych, jak od kwaśnych jabłek odwraca się od dni, kiedy jego próżność wystawiona była na poniżenie, tonie wspomnieniem przy każdej kobietce, która raczyła go obdarzyć łaskawem pocałowaniem lub oddaniem serca gołębiego „na

http://rcin.org.pl

zawsze". Wspomina zbyt często ową roz= pustną kobietkę, która wtajemniczyła go w sprawki rozkoszy, drwiąc sobie z grzechu, przeciwstawiając delikatnej piękności cnoty aksamitną piękność swej skóry. Jakże on lubi przesiadywać nad wspomnieniami jej pieszczot najbezwstydniejszego gatunku, oddając im w duszy żarliwe pochwały. Do cnoty nie czuje wcale przywiązania ani chęci. Dorwaw= szy się do konwi rozkoszy, chłepcze tak za= palczywie, że na ryk trzystu grzmiących z gniewnego nieba piorunów gotów zapytać: cóż to za miły szmerek dobrotliwego Ojca niebieskiego? Całe jego wnętrze poprostu drwi sobie złośliwie z choroby, śmierci albo i z tego, że, Boże broń, może sprowadzić nieszczęście. Oj, tak — lekkomyślność i piosenki snują się po mojej duszy... Ale spójrzmy w ten ogród, jak też on się przygotowuje do przyjęcia wie= czoru. Strumień, szemrząc pod nawisłemi drzewami, pluska sobie cichutko jak serce przekonane o swej niewinności. Lśniące łątki wiją się i unoszą w blaskach, jak doskonałe, boskie aeroplany. Maleńki krągły owad sza= firowy przeniósł incognito — bo nie znam jego imienia — swoją tajemniczą mość ponad wodą i zgasł w krzakach. Liście jarzą się wszystkie jakby podbite złotem i szemrzą.

http://rcin.org.pl

Czara szczęścia przechyliła się do twych ust, Synu Marnotrawny. Upajaj się, póki jeszcze jesteś wielkiem rozumnem dzieckiem z bujnymi włosami i krwią pałającą!"

* * *

„Od czasu, jak pokochałem tę dziewczynę, szukam samotności — myślał znów o godzinie przed północą. — Zajmuje mnie tylko Jolanta i natura... Dziwna rzecz: te chmury fioletowe: głębokie, groźne... To zapadanie pełni jakby w głąb wirów, dołów, pałających ciemnością. Albo wypływanie jej na obszary majestatycznego milczenia, na lazury pogody... Serce me upada wraz z tym księżycem w głąb ciemną i wychyla się na radość uśmiechnioną. To olbrzymie koło widnokręgu, pokryte bróz-dami, przyczajonymi fioletami, sinością ponurych bazaltów, opalami glorji, wytryskujących z czerni, — dziwnie niespokojnie a ufnie i błogo usposabia mą duszę! A wczoraj szedłem aleją bukszpanową, ciętą, której geometryczna oschłość ścigała mnie jak wyrzut sumienia, lecz jednocześnie świergot małych ptasząt, gnieżdżących się po najwyższych topolach strzelistych, szeptał mi słodkie piosenki o niedoli, która skończyła się nazawsze. Z bijącem sercem mijałem staw, którego mętna głąb

http://rcin.org.pl

mruczała niemrawo: „Rzuć się we mnie i umrzyj". — Nie, — rzekłem do stawu, bo ciekawa tkliwość każe mi patrzeć w oczy pewnej młodej księżniczki. Zaprawdę, pachną mi jej źrenice jak kosze świeżych fiołków". Staw wydał dziwny głos niby mruk pogardliwego starca, topole zaśpiewały i pieśń ich frunęła przez ogród. Pobiegłem duszą za tą pieśnią i ujrzałem na wielkiej piaszczystej równinie, której przesypujący się lekko piasek bielał jak kości na miał starte, siedem śnieżnie ubranych kobiet. Szły ku staczającemu się w różowe morze obłoków — drobnych jak dłonie księżniczki Jolanty — słońcu!

I pomyśleć, że już dziesięć dni nie widziałem tej cudnej dziewczyny. Ukrywa się chyba przede mną? Księżyc wchodzi do jej pokoju przez okno otwarte. Wdrapię się i ja tam — przy boskiej pomocy. Mam tu madrygalik w zanadrzu — napisany do niej. Nieco rozpustny — to prawda, ale jak cudnie rozewrą się ze zdumienia te oczy niewinne? Przypisuję jej rzeczy bezwstydne i — rzec można — niezgodne z jej dotychczasowym anielskim charakterem. Jeżeli naprawdę może „mnie pokochać", to mi przebaczy — wśród łez prawdopodobnie, jeżeli nie — to złamię kark na

http://rcin.org.pl

zawsze. Wyznaję w głębi serca, że mam do księżniczki trochę nieuzasadnionych pretensji — jakby rzekł moralista. Chcę ją ujrzeć natychmiast za wszelką cenę, choćby za karę ognistego potępienia i rozpaczy wiekuistej"...

Po drzewie wdarł się na okno, przechylił się przez parapet i chciał cicho jak kot wkroczyć do tonącej w półmroku sypialni. Nagle uczuł się pochwyconym za ramiona. Rzucił się, targnął w hardym odporze. Trzech atletycznych drabów w maskach trzymało go żelaznemi łapami. W groźnem milczeniu zapakowali go w worek i ponieśli. Był oszołomiony. Chwiało mu się przeraźliwie w duszy pomieszanie uczuć: strachu, zdumienia, wstydu, wściekłości, bezsiły... To bał się straszliwie, czuł w gardle spazm lodowatego lęku, zimny pot przerażenia spływał mu z czoła, a włosy powstawały. Czuł, jak jeden włos odpycha drugi, jak jeżą się ze zgrozy. To wściekle miotał się w worze, bił pięściami w szorstką zgrzebną płachtę, zgrzytał zębami. To znów serce jego gorzko poniżone drżało ze wstydu, że się dał podejść i obezwładnić. Na chwilę ujrzał z przeraźliwą jaskrawością, że kiedy on tu rzuca się w twardym ciemnym worze, księżyc tam w górze sunie z majestatyczną wspaniałością wśród groźnych ciemnych chmur! Zduszonym gło-

http://rcin.org.pl

sem złorzeczył zbirom, ale ci nieśli go w ciężkiem głuchem milczeniu, dźwigając ponuro, fatalnie, miarowo, jak automaty. Czuł się w mocy siły, której genjusz zachwiać nie może, we władzy ślepego, chaosu i tępego niewolnictwa. Nieśli go na skinienie cudzej woli ludzie, którym nic nie zawinił, lecz którzy mogą zamordować go apatycznie, a potem ledz na barłogu i zachrapać. Szli to w górę, to na dół, kręcąc i nawracając. Zdawało się, że idą to koło rozgorzałych pieców, gdzie dziko huczał i buzował się ogień, to koło głębokich dołów i sadzawek, skąd biegł chłodny zgniławy wyziew stęchłej wody. Wreszcie postawiono go na ziemi i wyjęto z worka. Był w nieprzeniknionej ciemności. Grube chropawe ręce trzymały go twardo jak kleszcze. Potem te łapy kosmate wpełzły mu w kieszenie, wywracały je na nice, rabowały mu sakiewkę i papiery. ‹Mój madrygał! — pomyślał z jaskrawym krzykiem w duszy!› W końcu — przez głowę włożono mu na szyję rodzaj koła czy krezy drewnianej, a następnie podniesiono, postawiono na czemś, przymocowano i zamknięto krezę. Ręce zbirów puściły go... Kroki ich oddalały się i umilkły. Przygwożdżony do miejsca, został sam w grubej ciemności i głuchej ciszy.

http://rcin.org.pl

Tak stał czas niewiadomo, jak długi. Rozumiał, że umysł jego nie umie mierzyć godzin. Niektóre chwile bowiem, jakby od nadmiaru chaotycznych zgiełkliwych uczuć, dłużyły się męczeńsko, inne przechodziły piorunem, dudniły jak konie cwałujące, odurzały go zawrotem lub płakały gorzko z nim razem. Gdy zwyciężało go znużenie — majaczył. Zdawało mu się, że jego dusza kurczy się i maleje. Ocykał się z przerażającym wstydem, z potem znękania na czole. I tak płynęły w ciemnicy dławiące, pomroczne godziny-martwice...

Aż kiedyś nagle oślepiające światło zabłysło — jakoby strzeliło ze wszystkich stron. Ujrzał się w pieczarze z głazów — jak się zdaje głęboko pod powierzchnią ziemi. Szereg ościeży okrągłych, okiennicami żelaznemi przywartych, biegł pod sklepieniem. Zdawało się Synowi Marnotrawnemu, że za szczeliną szyby błysnęła raz twarz biała, pełna zjadliwego a bezgłośnego chichotu. Od sklepienia zwisały na łańcuchach kości olbrzymie. On sam stał w ogromnej pstro pomalowanej beczce, przymocowanej do posadzki, beczce, której górne dno było rodzajem krezy, obejmującej mu szyję.

Ujrzał nagle w wielkiem zwierciadle, które

http://rcin.org.pl

zamigotało czysto i spokojnie, malowidła beczki, skazańców na stosach w ostrych kołpakach szyderczych, nagie czarownice, galopujące na miotłach lub tulące do piersi zad beczącego kozła. A ponad beczką tkwiła jego twarz skrzywiona dziwacznie i oczy ociekające łzami, rażone światłem, które zmiotło długą noc podziemi.

Ciężkie zawiasy zgrzytnęły, odsunęły się zawory. Weszła królowa ‹Była w czarnej sukni i naszyjniku djamentowym. Jej olśniewające ramiona jaśniały nagie i bez klejnotów — jak wówczas, gdy mu je kazała całować›.

— Królowo, — rzekł Syn Marnotrawny, a łzy mimowolne płynęły ciurkiem z jego źrenic — o jaką zbrodnię jestem oskarżony? Widzę, że z twojego rozkazu pozbawiono mnie wolności i osadzono w tem zgniłem podziemiu?

— O zbrodnię podstępnego opanowania woli królewskiej i zagarnięcia wysokiego stanowiska, które nie odpowiada ani twemu wiekowi, ani doświadczeniu i bystrości umysłu.

— Czyż nie zajmowałem tego stanowiska z twojej, królowo, zachęty, za zgodą twej królewskiej mości?

— Nastawałeś na życie króla, mącąc mu

http://rcin.org.pl

umysł, usuwając od spraw królewskich. Zresztą — ja tak chcę... Czy sądzisz, że nie znajdę trzech bogobojnych świadków, którzy pod uroczystą przysięgą zeznają, że wsypałeś do puhara króla truciznę i jadowitemi ziołami przyprawiłeś go o szaleństwo? Ach, niedoświadczony młodziku, pocóż ci było sięgać po owoce niedojrzałe, oglądać się za tą dziewczyną? Nie przeczuwałeś, że śledzę każdy krok twój, że wiem wszystko...

Ujrzał, że królowa trzyma w ręku biały zwitek „Mój madrygał!" — krzyknął bez głosu. Wydało mu się, że stoi w urągliwych mgłach wstydu. A ona rozwinęła rulon i czytała zimnym, wolnym głosem:

Madrygał ‹nieco nieprzyzwoity› na cześć niedostępnej księżniczki — uroczej Jolanty.

U w a g a. Przebacz mi pani, że moja galopująca wyobraźnia wyprzedza twoją łaskawość, oraz że madrygał ten nierymowany.

...„Gdy słońce zachodziło ‹o tej porze migotliwej jak skrzydło motyla› ujrzałem twe oczy płonące. W tiulach koronek brabanckich uwikłane były twe włosy, których dotknięcie jak miękkość popiołu sprawia palcom zdumienie. Weszłaś do altany w staroświeckim stylu pieszczotliwym, jak usta kurtyzany, gdy rozpamiętywa pierwsze swe żądze — twój

http://rcin.org.pl

trzewiczek zajaśniał po raz ostatni i zgasł za progiem. Wszedłem z sercem bijącem — jak wodospad wśród drzew ‹tęskniłem za tobą — gdym był samotny, twe usta spływały do mnie na skrzydłach — leciały od gwiazd, od księżyca i z ciemności — i całowały mnie›. Ileż zuchwałej pewności było w twym geście, gdyś mi kazała usiąść przy sobie. „Powiedz źrenicom moim o piękności, czego dotąd słuchać nie chciała moja skromność. Niechże zapłonę cała wstydem"... Rzekłaś i położyłaś dłonie na dwojgu swych piersi, kołyszących się lekko i pełnych oczekiwania. Doprawdy ani złocisty materjał kanapy, na którym jaskrawe kwitnęły kwiaty, ani migotliwy promień słońca, igrający na szybie weneckiej, nie był tak piękny, jak twoje oczy, w których szalały migotania klejnotów i śpiewały chóry złotych jutrzenek. A gdy wycałowałem już gorące zakątki twego ciała, dołki okrągłe i uśmiechnione niewinnie, zagłębienia czarownej słodyczy, gdy przejrzałem twe oczy tak, że przez ich odmęt szafirowy błysnęły mi konstelacje nowego nieba — wtedy, o pani, wyszedłem z altany, a patrząc na ciche gwiazdy, myślałem z niechęcią i gorzkim ku nim wyrzutem, że mimo wszelkich wysiłków szaleją-

http://rcin.org.pl

cych ramion i wyobraźni nie mogłem posiąść Ciebie całej"...

— Ach, rozpustniku! — krzyknęła królowa, chwytając się za twarz i głowę — ach, uwodzicielu nikczemny! — więc to takie listy pisze się do dziewcząt niewinnych?! Ale ja — krzyknęła ze łkaniem — przebaczę ci wszystko... Wybieraj: sąd i śmierć albo... wolność... jeżeli odepchniesz z pogardą tę romansową pannę, poniżysz wobec mnie współzawodnicę... przyznasz wyższość mądrości mej i urodzie...

— Nie uznaję się godnym łaski, miłościwa pani, abym był wolny — rzekł Syn Marnotrawny.

Królowa osłupiała. Stała chwilę nieruchoma, blada. Wargi jej drgały. Podeszła do więźnia i trzasnęła go niemo w mokrą od łez twarz.

Odwróciła się wolno, z odrazą, i oddaliła milcząc. Gdy się znalazła za drzwiami, jaskrawe światło zagasło. Syna Marnotrawnego pogrzebały ciemności.

* * *

Raz na dzień dwuch zbirów w maskach zjawiało się z pochodniami i w głuchem milczeniu karmiło go jak niemowlę. Wśród cierpkiego poniżenia, męki napastliwej od

http://rcin.org.pl

skrępowania beczką, dręczyły go gorączkowe przewidywania — obawa, że królowa zemści się na Jolancie. Głucho i ciężko stąpały w ponurem milczeniu nogi zbirów, przesuwano coś i ustawiano... Kroki milkły, tryskało światło. Widział drugą beczkę i głowę Jolanty w krezie. Przerażone oczy otwarte, matowe... Zaglądał w nie, dotykał ich duchem, błagał pieszczotą, by zmartwychwstały. Świat spływał w chmurę kałem brzemienną. Rozprzężone nerwy wylewały rozpacz we łzach dziecinnych...

* * *

Z wieży, w której siedział Syn Marnotrawny (dzięki łaskawości królowej, która poleciła go pewnego dnia uwolnić od ciemnicy i beczki) widać było zamek królewski, katedrę, plac municypalny. „Cóż to za styl piękny — myślał Syn Marnotrawny. — Katedra pełna uroku i charakteru. Święci chylą się z dzwonnicy nad miastem z wielką dobrocią. A te pałacyki, tonące w gąszczach ogrodów, które teraz na jesieni — tak cudnie płoną — szmaragdem, czerwienią, złotem. Od źródła, skąd dzień i noc bije z paszczy delfina woda jak lód zimna, odchodzi dziewczyna ze dzbanem. Jak wdzięcznie się przegina: włosy jej

http://rcin.org.pl

jaśnieją! ‹Gdyby tak księżniczka choć na chwilę się ukazała!› Wszyscy są spokojni i szczęśliwi prócz mnie. Tak pomyślałem. I choć wiem, że tak nie jest, z głębi mej istoty podnosi się głos, który szepcze: tak, wszyscy są szczęśliwi oprócz ciebie, o tobie tylko zapomniano. I mimo wszystko wierzę temu głosowi".

* * *

„Szczęścia, głupiego szczęścia chciałem w życiu. Czyż niema nic szlachetniejszego nad marny szych fortuny i uśmiech szczęśliwości? Nie wzniosłem się ponad codzienność! Nie przeżyłem ani jednej godziny, któraby ogniem wytrawiła wszelką tymczasowość serca. Chciałbym życie zacząć na nowo"...

Widział siebie małym chłopcem. Biegał po dziedzińcu ojcowskim, gdzie sterty złożonych desek tworzyły korytarze, które stały w cieniu ‹jak zmierzch kościołów!› lub kąpały się w jaskrawości słonecznej. Deski żółtawe jak słoma, pachniały żywicą. Żwinne pająki biegały tam na olbrzymich nogach i kwitły ślazy różowe. Gdyby przeżyć raz jeszcze cichą godzinę dzieciństwa, wolną od niepokojów, niezmąconą męczarnią czarnego jutra! Gdyby

http://rcin.org.pl

można raz jeszcze przejść takim z desek korytarzem!...

Potem przychodziło wspomnienie Eufrozyny...

„...Na progu groźnego losu nie będę spotwarzał twych darów... Dziś widzę cię, jak żywą... Leżałaś raz na posadzce... Niemal ciemno było w pokoju. Modliłaś się: „Boże, daj mi życie pełne rozkoszy i blasku! Otocz mnie szczęściem, jasnym przepychem... Przenieś mnie do dalekiego cudnego miasta, w przedziwny ogród, w raj niewyśniony! Niech serce me kipi miłością nieustanną! Daj niech będę zawsze z uniesieniem kochana. Zapomnieniem osłoń, co było smutkiem w przeszłości. Daj szczęście, jakiegoś nie dał nikomu dotąd, Panie! Tyś Bóg — Ty możesz".

Dotknąłem twego ramienia. Wstałaś, Eufrozyno... Nigdy nie zapomnę twych oczu — tak wielkie i gorejące były w owej chwili. Krzyknęłaś: „To ty, mój ukochany, ty przyszedłeś... tak cicho?... Nie puszczę ciebie nigdy... Zostaniesz tak nazawsze, pogrzebany w mych ramionach!"

O, dzięki ci za upojenie rozkoszą! Dzięki ci za to, że szyję moją otoczyły twe białe radosne ramiona! Dzięki za ciało, które z tak szatańskim humorem śmiało się w pianach

http://rcin.org.pl

żądzy! Ciało piękne i imponujące, które tak gorąco kochało szczęście zmysłów! Szmery gałązek, kąpanych w słońcu, wstającem na nowo, i trącających w szybę, przejmowały twe serce tajemniczem uniesieniem! Perłowy śmiech radości wybiegał nagle z twych ust! Spałem tak błogo na twej piersi, jak na brzegu rzeki złocistej. Mądre gwiazdy patrzyły spokojnie na moje upojenie! Dzięki ci za grzech i pożar! Twym cieniem była królowa... Przez tęsknotę ku grzechowi twemu upadłem w jej ramiona!

* * *

Kiedy wspomnienia pierzchały, wybiegał myślą w jutro niespokojne, widział plac swej kaźni. Okna lśniły jaskrawo. Strome dachy stolicy czerwone były jak krew. Amfiteatrem zasiedli przed rusztowaniem arystokracja, mieszczanie, nierządnice, lud. Królowa siedziała w gronostajach i małej koronie. Obok niej młody rumiany mężczyzna — nowy kanclerz państwa. Syna Marnotrawnego przygniatał ciężar tłumu, ciężkiego chaosu, który głucho łaknął śmierci. Kobiety czekały w podnieceniu, a gdy stojący za niemi mężczyźni ukradkiem ściskali im dłonie, wzdrygały się, gotowe krzyczeć z niecierpliwości i bryznąć łzami, gdyby egzekucję odłożono.

http://rcin.org.pl

Dziwne aktorstwo ludzkie broniło mu śmierci w milczeniu. Miał słów pełne gardło. Trzymane wewnątrz, rozbiegały się po żyłach, kłuły jak igły. Więc stawał na szafocie i przemawiał:

— Posłuchajcie mnie, ludzie. Byłem zły. Trawiłem marnie godziny, marnotrawiłem życie. Dałem się opanować pożądaniom małym, odsunąłem na bok wzniosłość, zdusiłem cierpliwą szlachetność, obudziłem zbyt późno tęsknotę gorącą i namiętność rzetelną. Dziś ginę. Czuwajcie, abyście nie zginęli, jak ja. Mnie śmierć zagraża, wam niebezpieczeństwo inne — życie. Wiedzcie, że każda godzina jest otchłanią, z której wynijść może mądrość najwyższa, dobroć najpodnioślejsza lub czarna nikczemność. Ani chwili nie marnotrawcie na to, by dręczyć innych. Podnoście upadłych, nie odbierajcie biedakowi słońca i wolności za własne wasze winy. Nie sądźcie również, że się niczego nie możecie nauczyć od żebraków, włóczęgów lub nierządnic, że jesteście wyżsi od nich w każdym calu. Nieszczęście nauczyło ich niejednej mądrości, której wam poskąpiła wasza szczęśliwość. W snach najpodnioślejszych nie bywacie może tak miłosierni, jak miłosierni bywają biedacy, grzejący w mrozy siarczyste swe chropowate,

http://rcin.org.pl

spracowane ręce przy ogniskach, rozpalanych na ulicach. Nieście więc w sobie pochodnię, rozpaloną wiecznie, nie dajcie się zepchnąć w mrok ani zmódz marnemu zgiełkowi miasta, pożądań małostkowych i chciwości. Ginę w wierze, że się odradzam i zaczynam nowe życie, górniejsze niż to, którego teraz ostatnia wybija godzina.

* * *

O milcząca ceremonjo powstawania mirażów okrutnych! Ledwie kończył przemowę — już duch oszołomiony kazał mu zaczynać ją nanowo, to tu, to tam dodawać i przestawiać wyrazy, męczyć się czerwonem widzeniem słów, wyskakujących z ciemności jako prawdy niesłychane i ważne, i poddawać szyję uciskowi obręczy żelaznej.

Twarz skazańca okryła się głęboką bladością, oczy zamknęły. Kat zaczął kręcić śrubą i zaciskać żelazo. Oblicze delikwenta zalało się rumieńcem niby wstydem, zajaśniało czerwoną łuną krwi, zalśniło ciemnym granatem. O nieba, czyż niema nikogo na tym świecie, ktoby go wyzwolił, odepchnął brutalną łapę oprawcy! Oczy rozwarły się, wysadziły na wierzch, jak dwie pięści rozpaczliwe, wołające pomsty, wyszły z orbit, jakby uciec chciały od

http://rcin.org.pl

pękającej od krwi twarzy! Usta rozdarte wywaliły na wierzch zęby, nastawione jak do kąsania, zastygłe w skurczu, obnażającym dziąsła... Wreszcie wszystko obsunęło się bezwolnie i zgasło, pociemniało i ucichło... Leżało wyciągnięte bezwładnie, wolne od ruchu...

Ozwał się dzwon za umarłych. Królowa wstała. Ze spuszczoną głową oddaliła się z miejsca kaźni. Czuł, jak serce jej uderza wolno i rozpamiętywa krwawą godzinę.

* * *

Leżał na placu bez życia. Ludzie odeszli, zostawili go. Los jego był dokonany. Lecz ludzkość żyła bratobójcza, mściwa, niepomna krwi przelanej. I widział pewnego dnia i godziny, kiedyś — w przestrzeniach czasu rzeszę ludzką, ogarniętą panicznym przestrachem, mającą jedno zgrozą objęte oblicze. Chmura rąk, łkających w powietrzu... Ponura tajemnica, idąca z niebios, od chmur ciężkich i okrutnych, jak dna rozpalonych kotłów. Wszyscy jakoby pierzchali, gnani rozpaczą, bo los straszliwy otaczał ich pałającym pierścieniem. On jeden leżał na placu bez ruchu. Nagle uczuł, że cały plac ciemny jest i pusty. Z okropności chmur pałających i strachu zostało tylko światło czerwone, palące się w górze uro-

http://rcin.org.pl

czyście, jak oko potwora. Myślał z rozpaczliwym wysiłkiem o tajemnicy tego światła, drżąc, że mały płomyk życia w nim zagaśnie i że zapadnie w ciemność na wieki. Nagle uczuł, że jego dusza jest nikłą, wahliwą falą w tem ciele rozciągniętem, nieruchomem, i owem światełkiem czerwonem w górze. Uczuł się w dwu miejscach: w ciele swem i w świetle na piętrze. Ujrzał, że dźwiga się i siada w osłupieniu. Wstał i chwiejnie ruszył z placu. I odtąd chodził po mieście — on, zmarły i niewidzialny, — patrzył, jak ludzie kupują jarzyny, kłócą się, żegnają, uśmiechają. Dręczyła go nieznośnie nicość tego wszystkiego...

• • •

Śniło się Synowi Marnotrawnemu, że spoczywał w fotelu. Paliła się jedna osłonięta lampa. W różowym półmroku leżała królowa na łożu, z głową pochyloną, z rękoma splecionemi na włosach. Otworzyła oczy, rzekła mu: — Jolanta czeka na ciebie ... Zaczął ją prosić, a potem szarpał z gniewu i bił, by rzekła, gdzie czeka na niego Jolanta. Lecz królowa leżała z zaciśniętemi ustami, głucha i martwa na wszystko... Wydało mu się, że jest jakby daleka i nieobecna, choć czuł pod rękami jej ciepłe ciało. Nagle ujrzał ręce ko-

http://rcin.org.pl

biece, nagie, srebrzyste i lekkie. Kąpały się w różowem świetle. Kilka razy wznosiły się ku niemu te ręce i jakby wołały go z uniesieniem. Lecz on czekał. Wtedy ręce znikły i na tle szaro srebrzystem ukazała się plama ciemno-niebieska, tak pięknego i mocnego koloru, że rozradowało się jego serce i uczuł ufność. Wstał i wyszedł. Wśród ciemności lał deszcz. Nieznana, czarna i pusta ulica. Siadł do pojazdu, rącze konie porwały. ⟨Królowa znikła już przedtem, nie wywołując zdziwienia⟩. W ponury rozświt, gdy z ołowianosinych poszarpanych chmur strzeliło słońce, jak wielki słonecznik, ujrzał ogromną, szarą równinę. Wielki, niemy dwór stał na tem pustkowiu. Żałosne wiatry przelatywały, jakby nie zatrzymując się i dążąc dalej. Wszedł. Mnóstwo staroświeckich mebli, poczerniałych obrazów, lamp, zegarów, poważnych, jak sędziwi zakonnicy, a wśród tego urządzenia, gdzie przepych łączył się z zapachem i stylem ubiegłych stuleci, zastał grono osób, postrojonych kobiet i mężczyzn. Wszyscy czekali jakby na kogoś wyższego od siebie. Pojął, że to na Jolantę czekają. Serce biło mu gwałtownie. Chciał spotkać ją samotnie. Ukrył się za drzwiami. Serce waliło, jak młot. Słychać je było w całym domu. Drzewa za

http://rcin.org.pl

oknem pochyliły się i słuchały. Pokój napełnił się srebrzystą światłością — weszła Jolanta. Dwoje dzieci bawiło się na posadzce. Podniosła je po kolei i ucałowała z anielskim uśmiechem. A kiedy odeszła i znikła za drzwiami, serce jego olśnione upadło w zwątpienie. Szukał jej, przebiegał z tęsknotą głuchy rząd jasno oświetlonych, pustych komnat. Dopiero w ostatnim pokoju siedzieli mężczyźni. Grali w karty i pili wino. Siadł do gry z nimi. Na stole lśniły stosy złota, a on myślał: niema Jolanty... Potem wszyscy wyszli na dwór... Był zachód... Płaszczyzna szara, szare niebo. Ogromna pustka, jak bezdenne oczekiwanie. Po drugiej stronie — wielki ogród, nizkie drzewa, długa aleja, lśniąca jaskrawem światłem. Mężczyźni siedli na ławce i rozmawiali z nim... Nagle uczuł, że knują wrogi zamysł przeciwko niemu. Błysnęli nań raz i drugi zimnemi oczyma. Jeden z nich chwycił go za gardło i obalił. Krzyczał, a oni poczęli uciekać długą aleją, obracając się do niego i śmiejąc urągliwie. Został w głuchej pustce. Milczenie i samotność otoczyły go i patrzyły lśniącemi oczyma. Nagle na drzewach, nizkich jak wierzby, ukazały się ogromne ptaki na gniazdach. Poruszały się, odymały, krakały... Zwracały ku niemu otwarte

http://rcin.org.pl

dzioby i mówiły coś, czego zrozumieć nie mógł. Pojął jednak, że te ptaki nie zrobią mu nic złego. Zmierzał ku gąszczowi ogrodu, który stał i czekał. Wtem gwałt za nim dziki, pisk, wycie... Gromada małpoludów, szeroka jak widnokrąg, biegła ku niemu z zaciekłem ujadaniem. Jeżeli dopadnie do tamtego ogrodu, tam wybawienie — tam jest Jolanta. Potknął się i padając ciężko, z czaszką rozbić się gotową o głaz, obudził się w gwałtownem wstrząśnieniu.

* * *

— Co tam tak sapie za kratami? O nieba, czyżbym się mylił? Ależ tak: skrobanie pilnika po żelazie... Jak długo to trwa! Ręka nieznanej istoty piłuje mi kości... Ból i radość przeraźliwa... nadzieja... Nareszcie ktoś wtyka głowę! Na piekło! Ależ to Gardzipluj!

— Mój synu — rzekł Gardzipluj — ani chwili do stracenia! Uciekaj po drabinie sznurowej... Masz tu pieniądze, broń palną, sztylet ‹ostrożnie z nim — zatruty!› Zejdę na dół — ty za mną. Łódź i przewoźnik czekają...

...Poczciwy wartownik dał się przekupić — szeptał opat, gdy obaj przekradali się gęstym ogrodem. — Sprzykrzyło mu się pilnować cu-

http://rcin.org.pl

dzego wroga. Przeżyje resztę życia w dalekiem miejscu bezpiecznem, jeżeli się nie da złapać. Co do mnie, to bronią mnie przed podejrzeniem mój wiek, powaga i otyłość.

Syn Marnotrawny, wyzwolony z niebezpieczeństwa długiego więzienia lub śmierci, uczuł, że wypełzają z zakamarków jego nałogi, które pokryły się w gąszczu ducha, jak ptaki przed burzą. Postać Gardzipluja z wielkim brzuchem i twarzą lśniącą od potu, a targaną nerwowym niepokojem, wydała mu się zabawną. Omal że nie powiedział: — Mój ojcze, nie wiedziałem, że zdolny jesteś do sztuk akrobatycznych. — Zamiast czuć wdzięczność, gotów był śmiać się głośno ze swego wybawcy.

— Synu mój — rzekł Gardzipluj — zdaje mi się, że mniej czujesz radości, niż przypuszczałem... Takaż to twoja wdzięczność!

— Przebacz mi, ojcze! Darować sobie nie mogę, że w więzieniu doznawałem halucynacji dziecinnych, upadłem na duchu i zwątpiłem... Czyż nie powinieniem był raczej wierzyć niezłomnie, że nie czas mi jeszcze być zwyciężonym, że Syn Marnotrawny nie zginie od gniewu kobiety. Pojmujesz ojcze, że grozi mi życie jako możliwość błędów, krzywd, bezmyślności. Zbyt poważna to chwila, abym

http://rcin.org.pl

czuł wdzięczność tylko. Opuścić mam oto księżniczkę, a czy znajdę drugą taką kiedykolwiek? Trudno mi będzie żyć wspomnieniami tylko tych godzin, kiedy me oczy ją oglądały. Prócz tego szatan mój mi szepcze: „Ułożyłeś sobie doskonałą mowę przedśmiertną... napróżno. Tyle zapału i uniesienia przedpogrzebowego na nic!" I wstyd mnie pali, żem nie został zgarotowany. Zanieś, ojcze, Jolancie pożegnanie ode mnie. Powiedz jej: — Żegnał cię z sercem pełnem żałości, lecz i cichej nadziei. Powiedz jej, że największem upragnieniem Syna Marnotrawnego, wyzwolonego tymczasowo od goryczy niewoli i Śmierci, jest: mieć ją w objęciach.!...

http://rcin.org.pl

BAŚŃ O MIŁOSIERNEJ CÓRCE.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Było to w zamierzchłych czasach, kiedy Polska w lasach stała. Pasiecznik miał trzy córki na dziwo urodziwe. Miłosierną była najmłodsza. Nie zrywała kwiatów, żeby nie więdły, a rozmawiała z nimi, jak rówieśnica. Dla ozdoby zrobiła zaś sobie wieniec z muszel, które rzeka na brzeg wyrzuca.

Pewnego dnia, gdy słońce miało zajść i pszczoły spać poszły, zachorzał ojciec-pasiecznik. O ziem się zwalił w jęku, a córki płacząc zaniosły go na pościel i narzekały z matką. Popłakawszy najmłodsza, gdy ojca gorączka zmogła, poszła i na łęgu legła, żaląc się na biedę. Obudziły się kwiaty, zaszeptały.

Aż mówi głóg:

— Druhenko, jest na skraju ziemi za tą górą, za tą rzeką studnia zmurszała. Na mszystej cembrowinie Smok siedzi, a woda cudowna w studni.

Umilkło. Najmłodsza poszła do świetlicy. Powiada, co słyszała. Na to siostra starsza:

http://rcin.org.pl

— Ja pójdę.

Minęła godzina jedna, druga. Nadchodzi, łamie białe ręce, łzy leje.

— Ledwiem wyszła — mówi — aż tu czarne chmurzyska, jak nie zejdą z nieba, jak nie obstąpią. Wiatr mnie chwycił, jak nie zawinie spódnic na głowę. Omackiem wróciłam, korale zgubiwszy.

— Płacze po ojcu i po koralach.

Siostra średnia powiada:

— Pójdę ja.

Minęła godzina jedna, druga. Kołacze ktoś u progu. To średnia. Od wstydu czerwona i płacze.

— Stanęłam w polu, a tu, gdzie spojrzę, dwanaście dróg biegnie jasnych. A na każdej świeci coś i śmieje się coś. Jakże mi trafić... Chusteczkę zgubiłam, słaniający się...

Płacze po ojcu i po chustce.

Odezwie się młodsza:

— Mnie trza iść, siostry. Popatrzę... Może temu rady dam.

Idzie drogą godzinę jedną, potem drugą. Księżyc świeci, tak cicho w polach, droga biała obrusem się ściele. A po bokach się chwieją, jak te lampki, kwiaty czerwone i żółte. A siła tego kwiatu. Bory stoją wstęgą ciemną. Jak nie trafić, kiedy i rozdroży niema.

http://rcin.org.pl

Nareszcie patrzy — studnia. Zrąb wilgotny, ślizgły. Z dołu opar bije.

Zagląda...

Zielony smok siedzi na głazie w blasku miesiąca. Wodę zasłonił, pysk rozwarł, oczy wysadził.

Mówi smok:

— A czego to trzeba?

Najmłodsza mu wszystko opowiada. Jak ojciec zachorzał, jak kwiaty mówiły, jak siostry szły, jak sama doszła.

Smok na to:

— Biegnij żywo do domu. A dzban zostaw. O północy z wodą sam będę.

Skłoniła się smokowi, porwała się, pobiegła. Leci, jakoby ją wiatr niósł. Tylko jej nóżki białe migoczą.

Przyleciała. Matka i siostry do niej.

Tak mówi i tak. Dziś smok do nas przychodzi z cudowną wodą.

O, rety! Zadziwiły się bardzo i aż się skręcają z ciekawości, jaki to smok, jak przyjdzie i jak to będzie. Przyszykowały korowaj, łóżka przysłały białą pościelą, zamiotły świetlicę i nakadziły jałowcem. Poubierały się wszystkie jak na gody, nawiesiły korali, wstęg.

Siedzą, kolanka ściskają, czekają.

http://rcin.org.pl

O północy na szerokim gościńcu wielki łomot i tartas. Pełza coś, łyska, kłębi się, przewala. Smok to, smok! Co popełznie, to z paszczy płomienia puści. Nietoperze i sowy tłuką mu się nad cielskiem, chcą dziabnąć w krwawe oczy. On prycha śliną. A na głowie dzban cudnej wody niesie.

Przywalił na dziedziniec.

— Otwieraj — powiada grzmiącym głosem — otwieraj gospodyni wrota. Żmij idzie!

Otworzyła gospodyni, pojękując ze strachu. Przewalił się za próg, wpełzł do świetlicy. Ale że długi, więc paszcza u pieca, a ogonem przy oborze.

Powiada:

— Stołek postawcie. Wysoka pościel. Nie uradzę.

Przystawiono mu stołka. Wlazł, skurczył się, ogon cofnął z proga, zrobił się nie większy, jak dorodny parobek. A cały lśni, jak słonko.

Patrzy z góry na kobiety, aż oczy mrużą.

Powiada:

— Siadajcie na ławie. A która mi się spodoba, z tą na pościeli będę spał, jutro zaś, skoro świt, ojca uzdrowię.

Siadły wszystkie i matka. Sromają się trochę, boją się trochę, trochę chcą. To która

http://rcin.org.pl

kwiat w warkoczu poprawi, to na szyi korale. Jeno najmłodsza, biała jak opłatek, piersiami drży.

A żmij powiada:

— Tyś najpiękniejsza.

Zamknęła gospodyni okiennice, zatrzasnęła drzwi, sama spać poszła. Córki, starsza i średnia, z parobkami na siano się zabrały. A ojciec leżał sobie chory, przy nim zasie dzban.

Została najmłodsza ze smokiem. Szatki zwleka, płacze.

— Czemu lamentujesz? — pyta smok.

— Wieńca mi mego żal.

— A ojca?

— I ojca mi mego żal.

A kiedy została w koszuli, powiada:

— Do sadu pójdę, z miłemi różami się pożegnać, z makami kraśnemi, z rezedą cichą...

Wymknęła się niemo przez sień. Idzie sadkiem po księżycu. Jak cień smutna. Płacze, całuje kwiaty.

Róże mówią:

— Weź nas...

Maki:

— Weź nas...

I rezeda prosi.

http://rcin.org.pl

A słoneczniki patrzą i chwieją głowami.

Tak im najmłodszej córki gospodarskiej żal!

Narwała kwiatów, pełne narwała naręcze. Między piersi i na łono nabrała. Odurzona wraca jak we śnie. Na skraj świata by szła, gdyby nie chory.

Na progu wita ją królewicz jak miesiąc piękny. Na białe ręce bierze, z kwiatami na pościel niesie.

Ujrzała jego oczy sokole nad sobą, objęła za szyję królewicza, pokochała...

* * *

I tak ci do świtu się miłowali młodzi. A kiedy słonko weszło, uzdrowili ojca cudowną wodą.

A potem zaraz łoskot się wielki podniósł na gościńcu. Palą z bicza, karoca lustrzana się toczy. Hajduki na koniach, rzędy złotem kapią, podkowy lśnią.

Osadziły się czarne konie na zadach, prysnęły pianą.

Już tobie nie zostać, córko najmłodsza, w chacie ojców! Już nie żyć tobie, jako żyłaś... Już ty stracona dla wczorajszej doli... Już i ojciec twój szary i matka i siostry obie, choć gładkolice.

Siedli w karocę i odjechali, królewicz i naj-

http://rcin.org.pl

młodsza. A gdzie jechali, tam ni to złote otwierały się podwoje, ni to wysokie jarzyły komnaty. I lśniło i błyskało jak szczęście.

A córka najmłodsza obzierała się na ciemną chatkę, na maki czerwone...

I łzy wylewała...

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

BAŚŃ O ZAPRZEDANEM SZCZĘŚCIU.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Wtrącono go do więzienia nie dlatego, że był winowajcą, lecz że sędziowie sami byli winni i dręczyła ich potrzeba karania. W ciemnicy przebywał czas długi. Kiedy się raz obudził — ujrzał, że drzwi kaźni odemknięte, a przed nim stoi sędzia w czarnym płaszczu i złotym łańcuchu, młoda dziewczyna i pachołek z tacą, na której lśni puchar kryształowy, pełen skrzącego się wina.

Sędzia rzekł:

— Przyszliśmy do ciebie, bo umrzesz. Przypomnieć ci chcemy o słońcu, o pięknie, o miłości. Oto dzieweczka, którą widywałeś może czasem, którą może kochałeś. Da ci ona różę, którą przyniosła dla ciebie na piersiach.

Dziewczyna odpięła różę, spoczywającą między jej rozkwitającemi piersiami, i wzruszona wyciągnęła ku niemu białą rękę z kwiatem.

— Wypijesz ten kubek wina — rzekł sędzia. — Osłodzi on twe strapienia ostatnie. Da ci sen gorący i piękny.

http://rcin.org.pl

Młodzieniec wypił wino, poczem wyszli wszyscy troje i zostawili go samego.

• • • • • • • • • • •

Wtedy skazany zapadł w sen głęboki i ujrzał się w złocistej pieczarze. Podobna była do wnętrza konchy. Na srebrnej skrzyni siedział starzec: brodę miał zieloną, a oczy — czerwone. Był w butach żółtych i kurzył fajkę na długim cybuchu.

Zaciągnął się, puścił gęsty kłąb dymu i rzekł, przyczem jego wargi poruszały się dziwacznie:

— Wyprowadzę cię z ciemnicy, jeżeli oddasz mi to, co kochasz najbardziej.

Młodzieniec nie odpowiedział. Sędził, że mu się przysłyszało. Oczekiwał na głos po raz wtóry.

Podniósł głowę i ujrzał się obok młodej dziewczyny. Siedzieli przed wielkiem oknem, poza którem fruwały motyle i stały ciche drzewa w białym kwiecie. Liście i kwiaty chwiały się lekko. Czuł ciszę i bicie jej serca. Podał jej ramię i zaczęli schodzić zwolna po miękkim kobiercu do ogrodu, który ich czekał. W sercu młodzieńca rósł zachwyt, a im niżej schodzili po schodach, tem cudniej jaśniała twarz dziewczyny. I schody wydawały się nieskończone. Coraz to nowe stopnie wy-

http://rcin.org.pl

rastały pod ich stopami, a ogród, drzewa kwitnące i motyle zdawały się zapadać w czarowną otchłań.

Gdy tak szli, stopień usunął się z pod ich nóg i oboje zaczęli spadać. Spletli się uściskiem i krzyknęli razem, jakby jednemi ustami.

A gdy krzyknęli, obudził się młodzieniec i ujrzał znów starca z zieloną brodą w złocistej pieczarze. Jego wargi poruszały się dziwacznie. Wreszcie głos rzekł:

— Wyprowadzę cię z ciemnicy i uwolnię, jeżeli mi oddasz, co kochasz najgoręcej.

Serce młodzieńca skurczyło się i bić zaczęło gwałtownie. Bał się, że jest to halucynacja, i że, jeśli odpowie, usłyszy ciszę lub śmiech szyderczy.

Dlatego zmilczał i zasnął znowu.

A wtedy ujrzał się w głębi ziemi cmentarnej. Warstwy gruntu i trumny stały się przezroczyste jak szkło i widzieć mógł umarłych. Miriady żarłocznych robaków pożerały ich. I wszyscy martwi żyli, lecz byli odrętwieni w straszliwym letargu, który nie dawał im otrząsnąć z siebie rojów robactwa. Oczy niektórych były wytrzeszczone szeroko, jakby w przeraźliwym strachu. A z innych zimnych, zamkniętych źrenic ciekły łzy mętne.

Młodzieniec z sercem, które rozsadzała

http://rcin.org.pl

zgroza, zaczął rzucać się w przezroczych pokładach ziemi, jak pływak w rzece, i udało mu się wynurzyć, jak z głębiny wodnej. Otrząsnął się z pyłu i ujrzał przed sobą pięknego, białego rumaka w srebrnym rzędzie. Skoczył na konia i jak wicher pomknął w głęboki step.

Pędził po pustej drodze. Koń drżał. Krew jego rozlewała się strugą ognistą pod białą jak kobierzec skórą.

Nagle jeździec usłyszał poza sobą straszliwe wycie. Zrozumiał, że ścigają go umarli. Nie obracając głowy, widział, jak gdyby nowa para oczu wyrosła mu na plecach.

Widział, jak pędzili na cienkich piszczelach, gnąc się potwornie. Słyszał, jak mlaskały czarne wnętrzności za żebrami, obnażone, bo skóra zgniła. Niekiedy z rozpędu szkielet padał na kamienistej drodze i rozbijał się. Czaszka toczyła się w jedną stronę, ręce rzucały się jak suche drewna w inną, a nogi i kręgosłup waliły się w burzany.

— Nie ujdziesz nam, nie ujdziesz! — wyły głosy.

— Kościotrupy padały, lecz wyrastały z ziemi inne, pędziły, potrząsając obżartemi z mięsa rękoma, zgrzytając, tocząc żółtą pianę, chrypiąc.

http://rcin.org.pl

Koń leciał jak ptak i jęczał ze strachu. Wtem podcięły się jego rącze nogi. Padł ciężko. Z chrapów pociekły rubinowe strugi krwi.

Buchnął okropny wrzask z czarnych jam ustnych. Umarli rzucili się na młodzieńca i przywalili go gromadą trzeszczących kości. Oddech mu się zaparł ze zgrozy. Ocknął się zimnym oblany potem.

Ujrzał znów starca, siedzącego spokojnie w złocistej pieczarze na skrzyni srebrnej. Jego wargi krzywiły się i mówiły:

— Wyprowadzę cię i uwolnię, jeżeli oddasz mi to, co kochasz nadewszystko.

— Dusza moja pełna jest miłości — przemówił młodzieniec. — Wszystkich kochać mogę, lecz nie pokochałem jeszcze nikogo. Pozwól mi, starcze, na jedno :weź ode mnie to, co będę kochał najmocniej za lat dziesięć. Daj mi dziesięć lat życia, abym mógł przelać miłość moją na osobę ukochaną.

Dobrze — odparł starzec. — Zgadzam się. Nie będziemy pisać cyrografu. Jesteś szlachetny. Wierzę ci.

Dotknął ciała więźnia i spadły jego okowy. Dotknął drzwi i otwarły się.

— Wolny jesteś — rzekł — i zniknął.

Młodzieniec wstał i wyszedł z więzienia.

http://rcin.org.pl

Wrota były otwarte, straż spała. Gdy wydostał się na ulicę, podbiegł do niego wielki czarny pies, powąchał go, zamachał radośnie ogonem, pomknął dalej i znikł.

Uratowany przeszedł zwolna przez miasto, śpiące i głuche. Wyszedł na szeroki gościniec.

Niebo nad nim uroczyste było i wspaniałe od gwiazd.

— Będę niezmiernie szczęśliwy — myślał, krocząc coraz dalej i dalej.

* * *

W dziesięć lat później młody mężczyzna siedział w ogrodzie z piękną kobietą. Otoczyła mu szyję rękoma, zapytała:

— Kochasz mnie bardzo?

Odpowiedział:

— Czy mówił ci już kto, że cię bardzo kocha?

— Mówił — rzekła cicho.

— I gdzież on jest teraz?

— Nie wiem — szepnęła, i jakoby lekki dreszcz wstydu przejął jej ramiona.

— Lecz żyje?

— Tak mi się zdaje...

Spojrzyj więc na mnie. Nie mówię, że kocham bardzo. Kocham... Nie wiem: bardzo

http://rcin.org.pl

czy nie... Zajrzyj mi w oczy. Czy widzisz, że dusza moja jest poważna? Coś zobaczyła?

— Widziałam jakoby ogień, który spala wszystko, co spotka, lub sam umiera.

— To właśnie ja jestem...

W owej chwili wydało się mężczyźnie, że ogród zalśnił blaskiem. Blask rósł i przybrał postać złocistej pieczary, której wnętrze było jak wnętrze konchy. Na srebrnej skrzyni siedział starzec z zieloną brodą i czerwonemi oczyma. Miał żółte buty i palił fajkę na długim cybuchu.

Zaciągnął się, puścił niebieski kłąb dymu i zapytał:

— Jak przeżyłeś te dziesięć lat, mój synu?

— Żyłem godnie — rzekł mężczyzna, czując, że ona, otoczywszy mu szyję ramionami, zasnęła cicho — byłem szczęśliwy, walczyłem i zwyciężałem. Zmusiłem wrogów do szacunku, a przyjaciół do podziwu. Dumny jestem nie tylko z tego, czegom dopiął, lecz i z tego, do czegom dążył. Lecz najpiękniejszą zdobyczą mego życia jest kobieta, którą widzisz przy mnie. Przez nią poznałem miłość. Jest mi najdroższą w świecie.

— Kochasz ją?

— Tak. Kiedy ją całuję przymyka oczy,

http://rcin.org.pl

uśmiecha się. Twarz jej oddycha promiennem szczęściem. A ja czekam, kiedy otworzy źrenice, bo w nich spostrzegam wtedy rozkołysaną wiecznie, podobną do pian morskich linję, poza którą jaśnieje mi niebo jej duszy.

— Jeżeli tak — oddaj mi ją — rzekł starzec. — Dziesięć lat upłynęło — tyś przyrzekł... pamiętasz?

— Przyrzekłem — odparł mężczyzna — lecz cóż ci po niej, starcze? Pomyśl: ja kocham ją, ty — nie. Nie rozłączaj nas. Jeśliś dobry — sprobuj wyrzec się nagrody. Zadowól się tem, żeś dobro uczynił. Nie wyrządzam krzywdy światu, że żyję i jestem szczęśliwy.

— Jeżeli jesteś człowiek szlachetny — dotrzymasz słowa. Wierzyłem ci. Czy zechcesz mnie oszukać?

— Tak. Nie oddam ci tego, co najdroższe, co dla mnie jest najwyższą nadzieją na przyszłość. Chcę, by syn mój odziedziczył mego ducha i tak samo jak ja walczył... Podeszłeś mnie, wydarłeś mi obietnicę, kiedy nie wiedziałem jeszcze, czem jest miłość.

— Lecz pomyśl: śmiertelny jesteś, poddany okropnym przypadkom i grozie nieszczęść. Jutro umrzeć możesz. Pojutrze opadnie cię starość. Czy chcesz i ją przykuwać do stosu,

http://rcin.org.pl

na którym w popiół obróci się radość twoja i szczęście?

— W jej oczach znajduję pewność niezachwianą — prawdę nieśmiertelności. Gdy umrzemy — żyć będziem w innych światach. Jeżeli chcesz nagrody, do złego dążysz. Gdybyś był dobry — nagrodę miałbyś w sobie. Tyś zło. A ze złem nie chcę przymierzy ani umów. Przepadnij!

— Dobrze! — rzekł starzec, — błysnąwszy oczyma — skończyłem rozmowę z tobą.

Znikł, ale natychmiast ukazał się żonie mężczyzny i zaczął rozmawiać z nią tak, że mąż nic nie słyszał:

— Czy widzisz mnie, piękna? Jam starzec, którego mąż twój oszukał. Skazany był na śmierć. Ocaliłem go. Za to miał dać mi, co kocha najbardziej... On kocha najbardziej ciebie, o piękna! Lecz nie chce mi oddać ciebie. Chce, byś z nim razem starzała się, więdła i schła. Czy on naprawdę cię kocha? Nie. Jam nieśmiertelny. I tobie dałbym nieśmiertelność. A czy ludzie są nieśmiertelni? Któż to wie. Ja nie znam śmierci. Jeżeli mi oddasz siebie, pozostaniesz na zawsze taką, jak dziś jesteś. Nigdy nie utracisz swego ciała. Wieczność całą patrzeć będziesz, jak ono promienieje. Twe lica nie zwiędną, oczy nie za-

http://rcin.org.pl

gasną. Pełność i białość ramion twych nie przekwitnie. Nie znam zmęczenia i co noc pieścić cię będę, przybierając postać młodzieńca. Mąż twój może cię kocha, lecz jak z pękniętej czary wino, tak z żył jego wycieknie zwolna ukrop namiętności. To ja sprawiam, że rozwijają się delikatne pąki róży i młoda kwitnąca pierś dziewczyny pręży się w rozkosznym dreszczu. To moja siła skrzy się w oczach młodzieńca. Jam duch ziemi. Czy kochasz swego męża?

— Nie wiem — szepnęła kobieta.

— Żegnaj. Myśl o mnie. Jeżeli chcesz zostać moją — rzuć naszyjnik perłowy, który mąż ci podarował i podepcz go. Wtedy ukażę się i uniosę cię. Otrzymasz wszystko prócz duszy twego męża. Żegnaj i czuwaj. Przekonasz się wkrótce, że miłość jego ostyga. Proszę cię, piękna, kochaj nadewszystko ciało twoje i jak najczęściej patrz w zwierciadło!...

Zniknął.

* * *

Odtąd smutek nawiedzać począł kobietę. Zdawało jej się nieraz, że miłość jej męża słabnie. I ciężka troska opanowała mężczyznę, bo, zajrzawszy raz w jej oczy, ujrzał, że głęboko w nich siedzi straszny starzec.

http://rcin.org.pl

— Dlaczego nie pieścisz mnie? — mawiała kobieta. — Gdybyś mi rzekł, że jestem piękna, ucieszyłoby mnie to... Ty milczysz i patrzysz tak smutnie. Czemu nie całujesz mnie dzień i noc, jak dawniej?... Pamiętasz?...

— Droga moja — odpowiadał — bądź dobra...

Rzucał się na kolana przed nią i patrzył w jej piękne oczy błagalnie. Godzinami wpatrywał się w milczeniu w głąb jej oczu z niemą prośbą, by dobrocią pokonała zło i nieszczęście, które usadowiło się w głębi jej źrenic.

Każdego rana rzucał się do oczu jej i zaglądał w ich głąb, spodziewając się, że błaganie jego sprawiło cud, że ocknęła się jej dusza i mocą swą wygnała złego starca. Lecz nie, w oczach jej głęboko, głęboko czyhał nieustannie złośliwy duch z zieloną brodą.

Myślał, że ona nie wie o tem, iż zły duch zakradł się i opętał ją. Wierzył w potęgę woli. Chciał zbawić ją miłością czystą i bezgraniczną. Błagał ją cichemi oczyma, by była czujna i dobra. Nie chciał odkryć przed nią dziwnej prawdy, ani urazić jej podejrzeniem, że zło zagraża jej duszy.

Troska nieustanna o nią podkopywała jego zdrowie. Stał się milczący i skromny. Jego młodość spętało przeświadczenie, że nie od-

http://rcin.org.pl

nosi zwycięstwa. Cichemi usty dotykał rąk jej i warg bez dawnego ognia i zapału. Marzył jak o wielkiem święcie o tym dniu, kiedy, zajrzawszy w jej źrenice, ujrzy znów linję falistą i niebo. Powtarzał często:

— Droga moja... bądź dobra, dobroć jest wszystkiem...

— Przestaje mnie kochać — myślała, patrząc na jego smutek i zamyślenie. Po nocach spać nie mogła, oczekując pieszczot i uniesień dawniejszej miłości. Nagle rozlegał się śmiech szyderczy i widziała, że twarz starca z zieloną brodą majaczy w półmroku sypialni.

Często siadywała przed zwierciadłem i rozkoszowała się urodą swoją, ramionami, szyją. Coraz bardziej kochała swą piękność. Nagle ogarniał ją smutek i mawiała:

— Nie jestem już taka, jak dawniej... Grzebień wypadał jej z rąk. Z włosami na ramionach szeptała:

— Starcze, przyjdź i zabierz mnie...

Śmiała się i mówiła:

— Nie, nie. Nigdy nie rzucę na ziemię naszyjnika, który mi mąż podarował, i nie podepczę go... nigdy...

Jednak brała klejnot do rąk, ważyła go na dłoni, zamykała w szkatułce lub kładła na szyję.

http://rcin.org.pl

— Jakżem piękna! — szeptała.

Tak szły dni, miesiące. Naprożno modlił się i błagał mąż, klęcząc przed nią i patrząc w jej oczy. Okropny starzec wciąż tam siedział i śmiał się złośliwie. Coraz głębsza melancholja ogarniała mężczyznę, coraz bardziej zagadkowym stawał się on w oczach żony. Dusza jej oddalała się zwolna od niego. A gdy otaczała mu szyję ramieniem i chciała pieszczoty, on drżał jak z trwogi, bo szyderstwo starca było w jej oczach. Prosił ją szeptem:

— O, bądź ty dobra! Bądź dobra!

Aż raz ujrzała, że pierwsza niedostrzegalna jeszcze niemal zmarszczka ukazała się około jej ust. Uczuła w piersiach ukłucie nienawiści do męża:

— Ach, ten człowiek dziwny... Jakże dawno nie całuje już moich warg. A inny otoczyłby mnie pieszczotą, jak pierścieniem ognistym, i nie dałby ustom więdnąć...

Żałowała, że poznał ją, że kochał ją tak ogniście. Lepiej byłoby nie spotkać się nigdy. Ach, to błaganie dziwaczne, to milczenie i troska! Jakaż to choroba opętała go i staje między jej żądzą a jego melancholją?

Wieczorem uczuła, że skrzywdziła męża tajemnemi myślami. Żal ją objął i skrucha. Nachyliła się nad nim i ucałowała go.

http://rcin.org.pl

On w głębi jej oczu ujrzał starca. A nie był to już niewielki starzec, jak dawniej, lecz ogromny, rosły jak dąb olbrzym z szydzącemi wściekle oczyma.

Krzyknął, jak gdyby ona ugryzła go boleśnie. Odwrócił się do ściany, aby jej nie widzieć. Drżał, jakby śmiertelne przejęło go zimno. Zakryła twarz rękoma i płakała ze wstydu.

Płakała tak długo w noc. Czekała, że mąż przyjdzie, obejmie ją i utuli, lecz on zasnął, a we śnie wzdrygał się i skarżył.

— Wszystko skończone — szlochała. — Wstręt czuje do mnie...

Myślała o państwie podziemnem, o jarzącem złocie, które tam lśni pokładami, o pieczarach stalaktytowych, o szafirach i djamentach, które leżą stosami.

Myślała o małych stworzonkach ze skórą oślizgłą i barwistą jak tęcza. Wypełzały ze stawów podziemnych, patrzyły na jej nieśmiertelne, kwitnące wiecznie ciało, na jej nogi, opasane sznurami ametystów.

Za oknami stała noc czarna. Kobieta wstała. Skradając się cicho, jak promień księżycowy, otworzyła szkatułkę. Gwałtownym ruchem rzuciła naszyjnik na ziemię i podeptała go.

Wtedy pokój napełnił się oślepiającym zie-

http://rcin.org.pl

lonym blaskiem i ukazał się duch ziemi. Objął ją i miażdżącym pocałunkiem zmiął jej wargi. Potem trzymanem w ręku berłem dotknął głowy śpiącego i obudził go.

Mąż obudzony ujrzał, że żona jego i zły duch powoli, uroczyście zapadają w ziemię.

Starzec poruszył wargami. Straszliwy śmiech rozdarł ciszę nocy. Dreszcz zgrozy wstrząsnął mężczyzną, kiedy ujrzał i usłyszał, że tak samo szyderczo roześmiała się kobieta.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

ARJADNA.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Arjadna lekką stopą przebiega krużganki pałacu. Jest to jedna z tych nocy księżycowych, kiedy nawet porosty, płożące się po brzegu morskim, zalśnią czasem, jakoby dając cichą odpowiedź iskrzącemu się morzu.

Pałac cały z białego marmuru, po którym różowość przemknie zrzadka niby rumieniec wstydu, ma lekkie pilastry korynckie. Szereg kolumienek błękitnych, podobnych do młodego lasu bambusowego, otacza go z dwu skrzydeł. Oddrzwia spiżowe, a na nich trytony, nereidy, morze szumiące. Gdy księżyc się wytoczy, drzwi te naprawdę żyć poczynają. Lśnią, morze się pieni, słychać dźwięk konch, w które dmą pyzate potworki morskie. Naokół cisza, księżycowa, nostalgiczna cisza, konająca na połyskliwych pagórkach bazaltowych. Te wzgórza bazaltowe nadają okolicy pewną mroczność, a po krużgankach snuje się Arjadna.

Stóp jej nie słychać — tak miękko stąpa.

http://rcin.org.pl

Przez częste stąpanie i snucie się po nocach księżycowych sama stała się podobna do księżyca — z ciszy, która bije z jej twarzy, a zwłaszcza — od jej ust. Wyglądają one tak, jakby Arjadna z nikim nigdy nie miewała sprzeczki. Jest w lekkiej szacie błękitnej, wysoka, ręce ma prześliczne. Wychylają się z szerokich rękawów, jak srebrzyste wcielenie dwu zgodnych melodji. Nigdy oko poety, zakochanego w nocy księżycowej, nie śledzi rzeźwych chmurek, uwijających się koło gwiazd, z taką tkliwością, jak źrenica miesiąca, kiedy Arjadna chce się ukazać, pochłania te ręce przedziwne!

Chodzi ona po krużgankach gmachu, snuje się, zapuszcza w głąb, zstępuje nieco niżej, przykłada ucho do pewnych drzwi. Stamtąd rozlega się miarowe chrapanie.

— Śpi papa! — mówi Arjadna.

Potem przystaje przy jednem z okien, patrzy w noc księżycową, przegląda się w wielkiem zwierciadle.

— Czoło niewątpliwie mam szlachetne — myśli o sobie. — Jestem piękna... ach, jakże jestem piękna! Ale krew nie krąży dziś zbyt gwałtownie w mych żyłach. Jestem spokojna — od pewnego czasu. Życie szlachetne wydostojniło mnie. To jest właśnie mój wdzięk,

http://rcin.org.pl

że jestem tak spokojna, choć doprawdy — trochę stęskniona. Czterdzieści nocy czekam na młodzieńca, którego trzeba będzie ocalić — cóż to za miły a szlachetny zarazem obowiązek! Jeżeli jednak mam być szczera — przed sobą, to zadługo już czekam. O mój labiryncie! O mój potworze, ty, który tak pragniesz pożerać! Ziewasz z wściekłości, że tak długo los każe ci pościć. W pysku ci wyschło. Twoje podniebienie popękało, jak pustynia na skwarze...

To mówiąc, schodzi Arjadna po majestatycznych schodach. Lekka jej stopa dotyka drobnych kamieni świecących, kieruje się ku skałom bazaltowym. Jak sarna wbiega na szczyt najwyższego urwiska. Staje, podnosi ręce...

O, jakiż widok nieporównany! Czarność skał bazaltowych, błękit przyblakły jej szat, przejrzysta białość rąk przedziwnych, które kąpią się uroczyście w powietrzu nocnem, bladość gwiazd rozsypanych, łagodny, ujmujący pierścień księżyca. A naokół cisza bezszelestna. Czasem tylko jakoby zabełkotanie morza, nagle ze snu obudzonego, albo niknące zaraz błyskawice świetlików przelecą. Tak stoi Arjadna, szepcze słowa tajemnicze. Modli się tak, czy kusi nieznanego Boga?

http://rcin.org.pl

Potem napowrót schodzi ku swemu pałacowi. Czyżby czuła wstyd? Szata aż wlecze się za nią, ręce ma opuszczone ku dołowi. Już mija krużganki. Już wszystko wydaje się jej próżnem, a noc ta straconą. Już dotyka drzwi i ma wejść do sypialni, gdy wtem — turkot oddalony kół... Niema wątpliwości! Jej ucho omylić się nie może: to On przybywa, to On! Opiera się na oddrzwiach. Jakiż rumieniec nagły zalał jej twarz! A serce bije, jak deszcz rzęsisty!

— Cicho, moje serce nieukojone — mówi Arjadna — cicho! Przyjechał Nieznajomy. Nasyć się tą wieścią wyglądaną! Nakarm się nią... Zatańcz, moje serce... Zalśnij mi rubinem... Zaśpiewaj, moje serce... Uśmiechnij się do mnie, jak gwiazda poranna... Zaniosę cię na łoże i ukołyszę snem najsłodszym — do jutra!

— — — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — — —

— Bydlę, łajdaku, rozpustniku — jakże to mnie prowadzisz?! I ty, drągalu, z lewej strony, też jesteś do niczego! Nicponie, hultaje, oprawcy, dławidzbany! Każę was zetrzeć na miazgę do zatykania szpar w dziurawych beczkach! Piłeś pewno noc całą w jakim marnym zaułku złodziejskim, w jakiej podłej

http://rcin.org.pl

garkuchni pod „Zdechłym buldogiem" — wśród cuchnącej zgrai oberwańców, a gdy trunku nie stało — zlizywałeś kałuże z lepkiej podłogi! A ty — znam ja cię, pysku wszeteczny! Wyszczekaj przed panem, z jaką to zezowatą, wyświeconą z miasta ladacznicą, z jakim gnatem przetrąconym lubieżyłeś, że trzęsiesz się, jak galareta, i ramię moje z rąk ci wypada? Do jakich tuliłeś się sińców?...

Tak zrzędził i sarkał ojciec Arjadny — poważny starzec z siwą brodą i krwawemi oczyma, którego dwaj lokaje prowadzili pod ręce. W jadalni byli już zgromadzeni domownicy i gość — Arjadna, Nieznajomy, kilka kobiet i kilku dworzan.

Ojciec Arjadny. Siadajcie państwo do stołu. Czy moja żona już jest? Nie widzę jeszcze żony. ⟨Lokaje wtaczają na wózku starą, suchą kobietę, siwą, o twarzy kamiennej⟩. A — już przyjechała! ⟨Śmieje się⟩. Zdaje mi się, że jest nowy Nieznajomy. Jakże się cieszę, młodzieńcze, że cię widzę. Uważaj dom nasz za swój własny. Jak ci się podoba Arjadna? No — nie nalegam — możesz mi na to nie odpowiadać. Mam nadzieję, że wkrótce odwiedzisz jej labirynt. Ma ona swój labirynt, ta moja córka kochana. Kazałem zbudować labirynt i umieścić w nim potwora,

http://rcin.org.pl

aby pożerał młodzieńców. Zrobiłem to przez zemstę, nie pamiętam już z jakiego powodu. Nie krzyw się, młodzieńcze. Czy moje wino ci nie smakuje? A może mniemasz, że jestem starcem niedołężnym? Mój drogi — ja nie potrzebuję pamięci. Wszystko, co mówię, wszystko, co robię — będzie zapisane. Mam kronikarza. Jestem znakomity, jestem potężny. Byłem i jestem groźny. Arjadna niewiele pamięta z moich sprawek, ale moja żona mogłaby rzecz niejedną opowiedzieć, gdyby nie to, że milczy. No — opowiedz coś ciekawego cudzoziemcowi. Trzeba przecie być uprzejmą, moja droga, trzeba mówić, trzeba się uśmiechać! ⟨Uderza staruchę mocno po ramieniu⟩. Zdaje mi się, że moja żona zamieniła się w pień, w drzewo, na którem nigdy nie zalśni rosa... Ona nie płacze nigdy... No, płacz, stara, zaśmiej się, zaklnij, zarycz!

Ariadna. Ojcze, daj pokój mojej matce...

Ojciec. Zapominasz, że ona jest również moją żoną. Czy nie mam prawa żądać od niej posłuszeństwa? Jej bezwład kamienny, jej stężałe oko bezbarwne we wściekłość mnie wprawia. I pomyśleć, że ta kobieta umiała niegdyś być miłą, że była pieszczotliwa, jak kotka. Gniew zdejmowała mi z oczu pocałunkami! O młodzieńcze, jakże jesteś szczę-

http://rcin.org.pl

śliwy, że pożre cię Minotaurus, że nie doczekasz chwili, kiedy twoja Arjadna stanie się taką kukłą drewnianą. Przekleństwo na jej głowę! Przekleństwo życiu, które trwa za długo! Przekleństwo mnie i jej, mojej chorobie i jej chorobie! Moim poplątanym nogom i tej niemej, ciemnej melancholji!...

Arjadna. Upamiętaj się, ojcze. Zważ, jakie przekonanie o nas wyniesie Nieznajomy...

Ojciec. To prawda. Uniosłem się niepotrzebnie. Jedzcie więc, państwo, pijcie... Czemu wszyscy tak osowieli? Skąd te miny wydłużone, jak strączki fasoli? Nie uważajcie na tę starą wiedźmę, tkwiącą osłupiałą źrenicą w szybie okna...

— — — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — — —

Czy myślał pan kiedykolwiek o tem — rzekła Arjadna — jak księżyc tkliwy jest i dobroczynny? Jego światło zlewa się miękko, jak pieszczota umarłego, gdy duchem wraca do nas. Ach, ta scena podczas obiadu! Biedny mój ojciec! Biedna moja matka!... Oddawna marzę już o innem życiu — o życiu na planecie, nad którą świeci tylko księżyc lub słońce tak, jak on łagodne. Pojmuje pan, że wtedy wszystkoby się zmieniło. Zdaje mi się,

http://rcin.org.pl

że roślinność powinnaby być tam biaława, nieco lepka, miękka i bardzo cicha. A ludzie — albo raczej istoty, które tam żyją zamiast ludzi? Niech będą jasnowłosi, a ich oczy niejasne, zmącone, jak mrok wodny, powinny nieść w swej głębi niemilknący krzyk rozczarowania. O, jak głęboko jestem smutna!

— Tak, pani jest smutna i wesoła, cicha i głośna, szczera i kłamliwa. Doprawdy — ciało twoje jest norką, z której coraz to inne wypełza zwierzątko — chytre, podejrzliwe, o miękkiem, pieszczotliwem futerku, okrutne lub dobroduszne, rozmarzone, jedwabne... Czy pani pamięta, co uczyniłaś po tym właśnie smutnym obiedzie?

— Cóż takiego?

— Tańczyłaś pani...

— Ja?

— Tak. Poszedłem za panią, gdyś się oddaliła ze łzami w oczach... W ogrodzie wybuchłaś płaczem... Potem pobiegłaś. Musiałem dobrze się spieszyć, aby za tobą nadążyć. Przybiegłaś na polanę nad rzeką... Tam zaczęłaś klaskać w ręce i tańczyć.... Śmiałaś się...

— A więc tak... Zatańcowuję każdy mój smutek... Kocham moje słońce... Bo ono jest moje — słońce nad głową i ten księżyc! Ko-

http://rcin.org.pl

cham czasem szczerość, niekiedy muszę kłamać. Lubię stanąć nad rzeką z kwiatami we włosach i ze śmiejącem się kłamstwem w oku... i przypatrywać się sobie. A teraz otwórz pan oczy szeroko i nadstaw ucha. Twoje imię, panie, dziwnie jaśnieje mi w pamięci. Nieznajomy... Nieznajomy... Nieznajomy... powtarzam i za każdym razem inaczej lśni to słowo. Ileż ma ono blasków, ile barw! Twoje imię jest barwiste, jak kobierzec, po którym depcze moja nóżka. Chodzisz za mną, ścigasz mnie, podglądasz... ⟨Z roziskrzonemi zuchwałością oczyma⟩. Czy już mnie kochasz?

— Ach, Arjadno... poczekaj jeszcze trochę.

— — — — — — — — — — —

— — — — — — — — — — —

Pierwszy z dworzan. Gdzie jest stary pan?

Drugi z dworzan. Stary pan przed chwilą zamknął oczy. Zasnął.

— To dobrze. Nie budźmy go długo. Duch jego szczęśliwszy jest, kiedy śpi. Gdy zbliża się do mnie, nieraz mnie dreszcz przejmie od stóp do głów. W mózgu moim podnosi się opar szaleństwa. Nigdy niepodobna przewidzieć, co on uczyni. Zdaje mi się, że duch jego żyje w sroższym świecie, niż nasz. Ach,

http://rcin.org.pl

te okrzyki niespodziewane! Albo to wpatrywanie się starej pani w przedmioty dla nas obojętne — w taflę posadzki, w światło lampy, w stary obraz — co mówię — nawet w byle gałązkę zieloną. Wczoraj Arjadna całowała kwiaty. Łzy jej padały ciurkiem na białe róże. Nieznajomy to ma minę zatroskaną, to znów wygląda na szaleńca. Cały ten dom to jaskinia obłąkańców.

— Jaka cisza. Wszyscy zdrzemnęli się po obiedzie. Upał — straszny upał. Czyś zauważył, że w skwar taki podnoszą się w nas jakby wspomnienia odległe, które trudno podejść na gorącym uczynku: niewiadomo, co one znaczą. Nie dziw się takim myślom: jestem trochę filozofem. Spójrz, — jak dziwnie ponuro trzepocze czerwona firanka w oknie starej pani. Jestem trochę malarzem i zajmuje mnie wymowa barw. Choć trudno to wyrazić, trudno cokolwiek wyrazić. Mowa nasza nie zdradza nas — przeciwnie, tem głębiej milkniemy — mówiąc. A to spiekota! Idź więc, mój stary przyjacielu. Zdrzemnij się, jeśli ochota, i nie troszcz się szaleństwem innych. Co do mnie, pójdę nad rzekę. W taki upał liść każdy błyszczy metalicznie, jest taki mocny i milczący. Pójdę nad rzekę — powiadam — i będę wygrzewał sobie pięty.

http://rcin.org.pl

Zdejmę obuwie... Dawniej chodziłem boso, dziś... etykieta, rozumiesz mnie, przyjacielu... Słońce na piętach przypomni mi moje dzieciństwo... fizyczne, gdyż duchowo dzieckiem jestem, jak i ty, jak my wszyscy...

— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

Nieznajomy. Ponieważ wszystko, jak się zdaje, śpi w tym przybytku modnego próżniactwa — czas przejść się cicho, miękko — z olśniewającą ostrożnością, która nigdy nie zawadzi, jeśli się wie, że lada huczek może obudzić drzemiące lekko pochlebstwo. Bzykanie komara o wiele mi jest przyjemniejsze, niż łaszenie się tej zgrai, wśród której zresztą może są i filozofowie, ale najwięcej pieczeniarzy i pochlebców. Mój ojciec uważał pochlebstwo za hołd, moja matka — za wielką przyjemność. To mnie uzbroiło przeciwko moim własnym rodzicom. ⟨Ryczy, udając wściekłość, potem — śmieje się⟩. Doprawdy — wszyscy doprowadzają mnie do tego, że nie mogę ich traktować zbyt poważnie. ⟨Siada w trawie⟩. Ten mały owad czerwony, bzykający wśród łodyg, jakże jest zapewne szczęśliwy. Wie, czego chce, kto jest jego wrogiem. Może nawet ma przyjaciela...

Ukazuje się Arjadna:

http://rcin.org.pl

— Pan tutaj?

— Czy to panią dziwi? Z pewnością czekałaś tu na mnie, Arjadno.

— Tak, czekałam tu na pana.

— I poco?

— Kocham cię, panie.

— Czy to warto... Wiesz przecie, jakim jestem człowiekiem... Mam wiele wad... więcej może, niż sitowia na tym stawie.

— A jednak kocham cię, panie.

— A i ty, Arjadno, nie jesteś święta. Wiem — jak mi się zdaje — o tobie wiele złego.

— Co wiesz o mnie, panie?

— Czy nie byłaś kochanką żadnego z twoich dworzan? Nie było może ani jednego z nich, któregobyś się nie starała usidlić zalotnością. Czy to nieprawda?

— Tak, panie.

— A teraz do mnie się zwracasz? Czemu?

— Nie wiem. Kocham cię, panie.

— Czy pocałunki tamte i pieszczoty tamtych nie skalały twego serca?

— Nie, panie.

— Więc jesteś czystą, Arjadno?

— Czystą. Spojrzyj w oczy moje, panie.

— Są one czyste — to prawda. Niema, dziwna roztacza się w nich pogoda. Ta po-

http://rcin.org.pl

goda przeraża mnie. Czyż nie doznajesz nigdy wyrzutów sumienia, gryzących wspomnień?

— Nie.

— Czy nie chodzą za tobą, czy nie siadają z tobą, czy nie kładą się z tobą twoi dawniejsi kochankowie?

— Ależ nie, panie. Skądże tak dziwne nawiedzają cię myśli?

— Czy nie zginęli przez ciebie w labiryncie inni? Czy nie pożarł ich Minotaurus?

— Tak, panie.

— I mówisz to tak spokojnie. I przytem oczy twoje tak są miłe, tak złotawe w swej głębi... Ty musisz często myśleć o złocie?

— Tak, myślę o niem często. Zawsze w nocy, gdy się obudzę. Jak ono pięknie śpiewa! Chciałabym mieć wszystko złoto na ziemi.

— I kochasz mnie?

— Tak mi się zdaje... Co mowię: jestem głęboko przekonana... Szukam cię, panie, gdy myślę, że sam jesteś, że mogę być sama z tobą.

— Cóż to za bezczelność z twej strony, Arjadno. Czy nie pomyślałaś nigdy, że może chcę być samotny. Że może nie znoszę obecności ludzi. Że może nienawidzę kobiet, takich właśnie kobiet, jak ty, co miały już kochanków.

— A czy myśl o tem wszystkiem i moja

http://rcin.org.pl

wobec tego obawa i trzymanie się zdala od ciebie, mogłyby mi zastąpić twoją obecność, widok twych ust, gdy mówisz do mnie, twego czoła, twych oczu, w których widzę niemą wzgardę i dziwne ciche słońce?

— Więc cóż dla mnie chciałabyś uczynić?

— Nie wiem, panie.

— Powiedz: czy kochałabyś mnie, gdybym był biedakiem?

— Nie wiem, panie.

— Czy opatrywałabyś rany moje, gdybym był rannym włóczęgą?

— I tego nie wiem.

— Czy, gdybym chciał wejść z tobą na wysoką wieżę i później rzekł: obejmij mnie i rzućmy się tam w dół, bo w tem widzę szczęście nas obojga, zgodziłabyś się na to?

— Musiałabym naprzód widzieć tę wieżę, wejść na nią, spojrzeć w dół, czuć uścisk twój, panie.

— A mówisz, że mnie kochasz! Jakże to ty mnie kochasz, jak?

— Siądźmy tutaj. Położę głowę na twoich kolanach — dobrze? Weź ją w dłonie. Pochyl się nademną. Niech oczy nasze się zbliżą. Teraz zdaje mi się, że to moje oczy patrzą we mnie, że ty jesteś mną, a ja tobą. Nachyl

http://rcin.org.pl

się — bliżej jeszcze. Będę odpowiadała sobie tylko — ach, tak mi potrzeba szczerości!

— Więc mów mi, Ariadno, mów mnie, mów sobie!

— Twój głos, twoje spojrzenie, twoje usta... Mogę patrzeć na ciebie długo, długo i nie nużę się... A gdy ciebie niema, zaraz pytam: jaki on jest? Tak mi nieustannie potrzeba ciebie: abyś mi zadawał pytania, abyś mnie podejrzewał, abyś mnie dotykał spojrzeniem, abym ci mogła odpowiadać: — nie wiem — i czuć jak ciepło od serca idzie mi do oczu!

— Arjadno, powiem ci teraz, czego nie chciałem wyznać, przed czem się sam broniłem. Zdawało mi się, że nienawidzę ciebie. Nie jesteś tak piękna, jak wiele innych kobiet, a mimo to jesteś piękniejsza. Kiedy ukazujesz się, myślę zawsze: oto już jest. Nienawidzę jej, bo koło jej postaci tworzy się baśń, w którą uwierzyć nie mogę. Ach, jakże ja czekałem na twoje spojrzenie, na twój gest, na twój uśmiech... Coś straszliwie, naiwnie świętego jest w twym uśmiechu. Pamiętasz, Arjadno, ucztę wczorajszą. „Jakież ona ma ręce" — pomyślałem z dreszczem zgrozy, gdyś niosła do ust kielich. Wszystkie inne — piją, tylko ona — się upaja". Myślałem dalej, że gdybym cię objął i pocałował,

http://rcin.org.pl

szeptałabyś mi napewno jakieś słowa bezładne, naprzykład rzekłabyś: ogień — woda — pustynia... O tych, zdaje się, wyrazach myślałem wtedy. Przez ciebie obcowałem z temi rzeczami, Arjadno: z ogniem, który tak podobny jest do kwiatu i tak zdaleka błyszczy, z cichą posępną wodą i z pustynią. Tak — siedziałem na pustyni przez ciebie i może modliłem się do nieznanego Boga...

— Drogi mój...

— Tak, ty mi jesteś droga... Ach, nasyć moje wargi — one tak łakną. Jestem więźniem — trzeba mi wyzwolenia. Jest coś w twych ustach, w kącikach twych źrenic, czego przezwyciężyć nie mogę...

— A któż ty jesteś?

— Kto jestem? Jestem, jak inni zapewne — zdumiony bardzo, że się tu znajduję — tu, na tej ziemi, gdzie wszystko jest tak dziwne, tak tajemnicze, tak obłędne. W tysiącznych podróżach usiłowałem zabić swe zdziwienie, poskromić swą tęsknotę. A jednak ciągle jestem zdziwiony, ciągle tęskny. Przy tobie, Arjadno, czuję, że nie pożera mnie Czas...

— Mój drogi — tak wiele podróżowałeś... Opowiedz-że mi, coś widział w tych podróżach, w tęsknotach twoich, snach?

— Co mi najmocniej utkwiło w pamięci?

http://rcin.org.pl

Słuchaj. Widziałem żołnierzy z lakierowo-blaszanemi wypukłościami militaryzmu, usta łkające w świetle pomarańczowem, pływaczki nagie, pogrążające się w rzekę z ramionami skrzyżowanemi nad głową... Srebrzystość ich ciał gasła pod prądem drobnych fal biegnących... Oglądałem wytworne kobierce barw, plecionki złotawe cudnych złotogłowi zapomnianych, gazy tkanin przejrzystych, wybuchające jak płomienie, linje skręcone spiralnie, obiegające z niezmierną szybkością koło osób zrozpaczonych, broniących się beznadziejnie, jakby od wężów-klęsk oplątujących. Wychylały się ku mnie napisy o dziwnych głoskach gotyckich, zawierające sentencje zbawcze lub rozczulające. Znikały tak szybko, że odczytać ich nie mogłem, choć czułem ich treść piorunującem objętą wejrzeniem. Nad niezmierzoną równiną traw rudawych podniosły się ogromne mordy szczekające, których podniebienia czerwonawe przypomniały mi słodką barwę róży. Olbrzymia głowa czarna zaśmiała się olśniewająco białymi, białymi aż do przerażenia zębami i pofrunęła w gorejącą otchłań nieskończoną... Ach, Ariadno — świat toczy się przede mną, jakby objęty ciemną straszliwą katastrofą: chaos barw, kształtów, okrzyków,

http://rcin.org.pl

spojrzeń żałosnych, spojrzeń straszliwych, spojrzeń niezapomnianych...

— Ach, tak, tak... A teraz posłuchaj mnie ty... Choćby nawet twe podejrzenia były prawdą, choćbym nawet pieściła już innych kochanków — czyż nie jestem ogrodem, który podlewały ich łzy i krew? Patrz — jak kwitnę... Patrz — szyja, ramiona, piersi... Szczęśliwy jesteś, że posiąść mnie możesz... Wierzę z uniesieniem w barwę, kształt, zapach mego ciała... Ale zanim ci je oddam, musisz zaznać śmiertelnego niebezpieczeństwa, musisz pokonać potwora... Owijam ci naokół szyi moje ramiona, któreś tak ukochał w owej górnej godzinie zachwytu, które kochasz może więcej, niż mnie całą, nim zostanę twoją. Żądam od ciebie bohaterstwa. Kiedyż zejdziesz w labirynt?

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Za chwilę zacznie się wielka, groźna uroczystość. Jeszcze jeden młodzieniec zejdzie w labirynt i tam potykać się będzie z Minotaurem. Napoły człowiek, napoły byk, czyli inaczej — człowiek, uwięziony w bydlęciu, zetknie się z człowiekiem. Piękna Ariadna żąda rękojmi... Oby człowiek okazał się dzielny i mężny, oby zwycięstwo było po stronie

http://rcin.org.pl

naszej! Złóżcie ręce, niewinne dziewczęta, przyciśnijcie kwiaty do waszych piersi falujących, pragnijcie z całego serca, aby zwyciężył człowiek!...

Szczęśliwszemi oczyma spojrzą gwiazdy na ziemię, jeśli Minotaurus, z pyskiem dymiącym purpurą krwi, legnie u stóp Nieznajomego... A jeżeli on zginie, o Arjadno? Ty pozostaniesz niewinną... I znów czekać będziesz nowego szaleńca... I znów przyjdzie inny szaleniec! O serce ludzkie! O tęsknoto! O serce kobiety, wiecznie żądne bohaterstwa!

Nieznajomy. Żegnaj, Arjadno. Jestem szczęśliwy, że chcę i mogę przez ciebie i dla ciebie potykać się z Minotaurem. Jestem wywyższony ponad ludzi, jedyny w tej godzinie. Przyciśnij mnie do serca, zanim zejdę w labirynt.

Arjadna. Me serce głośno bijące będzie ci nicią, po której wyjdziesz z labiryntu, niosąc broczącą głowę Minotaura.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

O, patrzcie, patrzcie! Gwałtowny wicher zerwał się, gdy człowiek wszedł w labirynt. Chmury zakryły słońce. Kurz sypie się na szaty nasze. Ariadna powiewa białą chustką. Jej ojciec, starzec z krwawemi oczyma, zgrzyta

http://rcin.org.pl

zębami. Co to za ryk? Czy to odgłosy burzy nadciągającej, czy wrzask Minotaura, który zwietrzył już bohatera?

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Ariadna. Godziny suną jak żółwie. Jak strasznie dłuży się czas. Jakże się wloką ponure chmurzyska, przewalając z boku na bok, jak tłuściochy. Niema go... błądzi w labiryncie. Czemże jest labirynt? Czem jest potwór Minotaurus? Nie chcę myśleć o tem. Uspokój się, mój ojcze. Chciałabym odwrócić się od ojca, od wszystkich ludzi. Na godzinę jedną chciałabym być zupełnie samotną... Chciałabym się rozciągnąć wśród kwiatów. Słodka, kojąca jest ich woń, ich świeżość. Kiedy uklęknę i obejmę jaki narcyz biały i szepnę mu w ucho aksamitne: — kocham, — jakże łagodnie mnie słucha. Nie pyta: poco? dlaczego? jak? czy naprawdę? Czy jesteś pewny, mój ojcze, że to zaryczał Minotaurus? Czy jestem siostrą tej jaszczurki, co tu pomknęła między kamieniami? Czy ten szary obłok, sunący cicho nade mną, jest moim bratem? Chcę się rozwiać, zagasnąć. Chciałabym zalśnić rosą na kwiatach — wzdłuż drogi, po której przejdzie rankiem Nieznajomy. Niech to tylko, że kwiaty będą piękniejsze,

http://rcin.org.pl

niż w inne rana, da mu poznać, że niema już Ariadny.

— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —

Nieznajomy wynurza się z labiryntu:

O stary dudku! O zalotnico z pięknemi rękoma! więc to tak chcieliście mnie oszukać? O utrapione upiory przeszłości! Gdym wszedł w labirynt z sercem bijącem głośno — jakoby morze wieczne, nieukojone — z żądzą ognia, miecza i zwycięstwa, w oczekiwaniu mojej najwyższej godziny — poraził mnie blask świateł, które to rozbłyskiwały, to gasły — a ja z trudem — pośród wądołów, wilczych jam, odłogów, zielsk parzących, rowów, urwisk, wertepów — posuwałem się w różnych kierunkach, to zapadając w ciemność nieprzeniknioną, to ślepnąc niemal od osłupiającego światła, które dawało mi ujrzeć olbrzymie żółwie, pełznące leniwie po oślizgłych, zarosłych chwastami drożynach, owadki błyskliwe z wysuniętym naprzód ryjkiem i oczyma płonącemi jak karbunkuły, mleczno-białe tłuściutkie potworki, o ciele owalnem, na kusych nóżkach, które, zatrzymane przeze mnie wzrokiem, kręciły się wkoło, usiłując schwytać wyszczerzonymi z pyska zębami własny ogon, a gdym się zbliżał — uciekały... Pogrążałem

http://rcin.org.pl

się niby w obręb pierzchającego szaleństwa. Nareszcie ujrzałem pysk Minotaura, jakoby ziewający, i ślepie bielmem zaszłe. Uderzyłem w ten pysk mieczem, myśląc, że zaryczy, że rzygnie ogniem. Lecz tylko kurz zadymił ze łba i głowa jękła głucho, jak pień zbutwiały. Przeszyłem na wylot bok potwora. Trociny sypnęły się z brzucha... Pochwyciłem go za róg i został mi w ręku ułamany, jak gałąź uschła. Krzyknąłem z gniewu! A wtedy labirynt rozwiał się jak oman. Znalazłem się na pustkowiu, w przykrej mgle żółtawej, wśród tu i owdzie rozsypujących się szkaradnie, drobnych szkieletów. Taki to jest ten twój potwór, Ariadno: już dawno zdechł on z głodu! Nie jesteś już zwycięska, nie jesteś upajająca. Ach, śmieszna jesteś ty i twoje ręce... O stary świecie butwiejący, pełny fałszu, w którym nawet niebezpieczeństwo jest trupem! To, co dawniej żarło, błyskało ślepiami, ryczało, nacierało, rzygało, ogniem — dziś pleśnieje bezwładnie, a rozprute — nawet nie zaskowyczy. Daj tę resztę dzieciom na zabawkę. Powiedz, Ariadno, jakim to cudem jesteś dotąd piękna? Wstąp do teatru, Ariadno! Tam właśnie potrzeba takich świeżych, jak twoje, ciał i tyle dobrze zachowanych pozorów!

Ariadna. Aaa... teraz mi się wszystko

http://rcin.org.pl

wyjaśnia: częste niepokoje bezpowodne i szmer w uchu, jakoby szelest podnoszonej kurtyny. Do teatru! To było zawsze mojem marzeniem ukrytem. Przyroda jest za głęboka, może za niebezpieczna i zbyt milcząca... Doprawdy: nudna jest ona ze swym pyzatym księżycem i florą wiecznie jednostajną. Żegnajcie więc, ciemne bazalty i ty pałacu mój, biała, marmurowa pustynio mego ducha... Teatr! teatr!... Sztuczne słońca! Gwiazdy na firmamencie z płótna! Pocałunki, które zdejmować będę z twarzy razem ze szminką! O kulisy, batysty, westchnienia kruche jak pianka na wodzie, lakierki, wstążki, koronki, szepty, ukłony, bukiety szybko więdnące, oklaski! O morze uczuć, wyciskających łzy na widowni, a tak lekko strawnych, tak mile znośnych, jak motyl, kiedy siądzie na ustach śpiącej dziewczyny! Chcę być krzykiem wszystkich kobiet na ziemi: królowych i nędzarek, czystych i rozwiązłych, chrypnących z głodu i chrypiących z rozkoszy. O, teatr! Jakże tam zalśnię, jak zakwitnę! Jak ja tam zatańczę wśród sztucznych ogni i mieczy tekturowych!

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

ZŁOTA RYBA.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Jest polana, zarosła chwastami, na skraju miasta — tam, gdzie ono spada ku rzece: małe słoneczne miejsce — na stoku wzgórza — zielona oaza wśród bruków. Nieco wyżej, z boku schody kamienne, którymi ludzie pną się w górę i staczają na dół, dalej — paszcza lwia, z której w basen granitowy leje się struga wody. Naokół piętrzą się domy, błyszczą tysiące okien. Tam to ja się wylegam po całych dniach, odkąd przestałem pracować. Mam w uchu przelewanie się i bulgotanie zgiełku ulic, mamroty ludzi i bydląt. Odwracam głowę od muru, pełen cierpkiej pychy próżniaka. Dziś żadnej pracy nie uznaję za wartą zachodu. Zgubiłem gdzieś chęć do pracy, jak niektóre strumienie gubią swe łożyska powierzchnie i zapadają się w podziemia, nim dobiegą ujścia. Słońce mnie pali. Mój spłowiały surdut rudzieje coraz bardziej. Zaciskam pięści, wtłaczam je w puste kieszenie i drzemię, na biało, w blaskach przywidzeń lśniących i zimnych, jak lodowce. W ostatnich tygodniach ciało moje chudnie

http://rcin.org.pl

przeraźliwie. Tak to ja dojrzewam do trupiarni!

Ale, zanim resztę mych kości przygarnie kostnica, myślę czasem o pewnym dniu wiosennym, kiedy przypadek i kaprys kobiety uśmiechnęły się do mnie na krótkie szalone dni i noce.

— — — — — — — — — —
— — — — — — — — — —

Wychowałem się na zapadłej prowincji, w głuchej mieścinie, podobnej do rzuconej w chwasty zbutwiałej opończy. Podczas spiekoty letniej podnosiły się tam piętrowe tumany kurzu i pędziły dziko naprzód, osypując po drodze przechodniów i rozpierzchając się z szorstkim szmerem po ostach i spaczonych parkanach. W dni dżdżyste tworzyła się na rynku ogromna kałuża. Jej szklista powierzchnia odbijała pierwszy błękitny uśmiech nieba i rogi księżyca. Z furtek nizkich domów wytaczały się kaczki, przewalając z nogi na nogę i kusztykały do wody. Na widok cichej, pobłyskującej stalowo toni wydawały gardłowe okrzyki i poruszały radośnie ogonami. Puszczały się na wodę i odpływały lekko, równo, pociągając za sobą kaczęta, podobne do żółtych kulek puchowych.

Ale oto słońce dopraża dzień i drugi, wiatr

http://rcin.org.pl

zanosi na powierzchnię warstwę kurzu, toń traci połysk, jak oko bielmami zasnute. Kałuża wysycha, cofa się do środka, kurczy się, ropieje, traci urodę. Nie odbija już białych chmur ani gwiazd. Mętna śniedzieje zwolna, miejscami przebija barwami zgniłych tęczowań, miejscami rudzieje. Kona kałuża.

Męty, cofając się, zostawiają na podschliskach czarny nalot, mazisty i popękany, jak skóra znoszona. Tysiące much obsiadają podeschłe miejsca i żerują.

Zlatują się z brzękiem — lśniące, szmaragdowe, chełpliwe, zbójeckie, przywabione smacznym odorem. Kałuża kurzy się rozpaczliwie bucha smrodem, jak kadź piekielna. Zatrute miazmaty porywa wiatr i dmie w otwarte okna.

Kiedy kałuża przemusuje i nabierze kwaśnoostrego, miażdżącego nos zapachu, nadciągają świnie. Idą ponuro i, pogmerawszy ryjem, jak kłody walą się w lepki, fermentujący muł. Zawracają gałkami oczu i leżą w upojeniu, jak palacze opium.

Ha! ha! ha! — napatrzyłem się na ten klejnot! Mieszkańcy tej dziury zajmowali się drobnym handlem i cichemi łotrostwami. Jako robotnicy byli partacze, jako filozofowie mieli jedną ideę: pielęgnować swą kałużę. Na jej

http://rcin.org.pl

widok chrząkali z uciechy, jak wieprzaki. Nie w jednych oczach leżało odbicie tego płynnego kameleona, którego skóra mieniła się zależnie od słoty lub suszy. Nie w jednych oczach przeglądało to dno grzęskie lub sypkie i spękane, jak wrzód po wyciśnięciu. Kałuża nie sprzyjała rozkwitowi umiłowania bliźnich. Raz w nocy obudziłem się, siadłem na łóżku. Gęsty deszcz siepał w okno. Wiatr skowytał. Mój towarzysz chrapał. Uczułem tchnienie kałuży z za okna. Podniosła się i rozwarła paszczę ociekającą: stamtąd wywalił się szary, skrwawiony kłąb szeptów. Powiała na mnie lodowata, lecz mocna i sprężysta ochota: wstać, wyciągnąć rękę w ciemność chrapiącą, nabiegłemi krwią palcami nadybać szyję... udusić.

Powietrze tej mieściny nie służyło mi. Wystraszyła mnie ciemna nienawiść, która na podobieństwo wymiotów pełzła mi do gardła. Trzeba było uciekać: duszę ratować. Znalazłem się w stolicy. Odetchnąłem, jak zbieg, gdy tentent pogoni ścichnie. Przychodziłem z dobrymi zamiarami. Nastawała moja godzina próby, epoka zetknięcia się z ludźmi szerszego obowiązku. Cóż to za obowiązek szerszy w naszych czasach, hę? Usłużność płaska wobec złota — nic więcej! Jeżeli

http://rcin.org.pl

świat nie jest dotąd ruiną i domem kaźni, jeżeli spotkać jeszcze można uśmiech czysty i odrobinę mądrości, to dzięki tym nielicznym, co nie bałwochwalą złota. Na mej drodze do czystego chleba i powietrza stanęli ludzie złota. Toń ich ideału lśniła złociście, lecz pławiły się w niej świnie, jak w kałuży. Jak obuch w czoło uderzyła mnie ich niechęć zaciekła do wszystkiego, co w człowieku nie jest jeszcze automatem. Ach, ci przedrzeźniacze prawdy! Ach, ci arlekini szychu! Jakże oni nienawidzą, zgorzkniale a tępo nienawidzą, niezależności sumienia, wzroku, postawy, gestu. Sprzedawałem im ręce. Chcieli zagrabić mi wolę. Chcieli wydrzeć i miętosić me serce w brudnych łapach! Żądali, bym zgadywał ich zamiary, bym opłakiwał ich straty! Zarzucali mi obojętność i dumę, jak gdyby duma nie była najlepszą z cnót ludzkich. Chcieli, abym naserjo brał ich zabiegi i ich samych: co za bezczelna zarozumiałość! Wszędzie spotykałem małego człowieka, niebezpiecznego przez to, że przedrażnionego w instynktach, że rozżartego na współzawodników — zapadłego w wir i ukrop wielkomiejskiej pogoni za złotem, zdyszanego i zapienionego, robiącego bokami i oszołomionego. Wszędzie mi lśniło bujne krzewienie się frazesu, panowa-

http://rcin.org.pl

nie samic i próżności, upadek pogody ducha i męstwa. Co za potworna, sknercza, urągliwa chuć niszczenia mięśni, nerwów i duszy bliźniego? Ha! ha! ha! miałem wziąć udział w komedji współczesnej! Czemże jest ona — ta komedja? Oto trzeba, koniecznie trzeba, abym ja bydlęco pracował, aż do wyschnięcia rąk na drzazgi, aż do zjełczenia szpiku. W jakim celu? Aby rodzina filistra i gracza giełdowego miała za co lubieżnie pielęgnować swoje siedem grzechów głównych. Oto powinność, odarta z barwnej łuski frazesów. Ach, wkrótce sprzykrzyło mi się ocierać o pychę ludzi, oddanych zawodom ogłupiającym! Nie chciałem brać udziału, ani ponosić odpowiedzialności za przyszłość, jaką ziemi gotują bałwochwalcy. Nie chciałem, aby oni utwierdzali swój typ! Wzgardą w pysk im bryznąłem! I dlatego nieraz noc jesienna, gdy wicher strąca resztę liści z drzew przemokłych i okiennice szczękają, jak zęby w ciemnościach — widziała mnie drżącego na ławce skweru publicznego, trawionego zgryzotą myśli, które, jak skazańcy, krwią ociekały, witającego mglisty świt rozbiciem i bólem w krzyżu, tym bólem biedaków, napastliwym, zażartym, szarpiącym jak tępy nóż ścięgna i wżerającym się w mlecz pacierzowy.

http://rcin.org.pl

Nastała wiosna, a ja byłem znów bez pracy. Nad miastem płynęły obłoki, jak roje dzieci, powiewających figlarnie chustkami. Ileż nadziei wyłania wiosna! Nadzieje te pewno będą zawiedzione — myślałem chmurnie, włócząc się po ulicach bez określonego celu. Stanąłem przed pałacem o fasadzie w głębi wielkiego dziedzińca. Od tego gmachu wiał spokój głębokiej wody w lesie. Oddzielony od ulicy kratą żelazną, osłonił swe okna firankami, nie chcąc patrzeć na życie uliczne. Myślałem, że posadzki lśnią w tych pokojach jak zwierciadła, a stare cenne obrazy drzemią w cieniu komnat, ukryte przed okiem i zgiełkiem ludzi ciekawych. Stałem długo przed żelaznemi sztachetami. Uspokojenie sączyło się w mą pierś.

Ale gdym ruszył dalej, gdy turkot wozów, dzwonki, nawoływania zahuczały, uczułem znów mściwą zażartość. Usunąłem się nieco na bok od ciżby, w stronę małego skweru, gdzie stał pomnik świętego. Przeczytałem napis na cokole: Fortitudo—Temperantia—Justitia. To właśnie, czego brakuje tej całej hołocie, spacerującej teraz w słońcu, sytej i zadowolonej. Kobiety snuły się na wysokich korkach, pochylone nieco naprzód, jakby chciały upaść w pierwsze lepsze objęcia. Zaglądałem zu-

http://rcin.org.pl

chwale pod kapelusze przechodniów. Widziałem w ich twarzach odbicia i maski starych szematów, które mnie nudziły śmiertelnie. W niektórych oczach było lśnienie jadowitych pogróżek lub kłębiły się chełpliwie nikczemne nadzieje. Czułem lękliwe pomysły zbrodni, kompromisy bezwstydne, palący ślad policzka niepowetowanego, osamotnienie płaczliwe, gnojące się rany sumienia, chłodny połysk w oczach bogaczów, których nuda nieuleczalna prowadzi do manji niebezpiecznych. Ujrzałem wyraźnie, dzięki zapewne przypadkowemu zetknięciu się i kombinacji przelotnej kolorów, na cylindrze pewnego pana małego czerwonego djabła z opuszczonym na bok ogonem. Djabeł miał pysk mizerny i wyraz ograniczony. Pan niósł go prosto i troskliwie. A potem – mówiłem sobie w duchu — pan się rozbiera, pan się kładzie do łóżka, pan bawi się z djabełkiem. Cóż to za igraszki ohydne: daje mu gryźć swój palec z sygnetem. Słyszałem chrupotanie krzywych zębów szatanika-gagatka na złocie. Całe życie tego pana jest służbą u tego demonika podrzędnego i zaszarganego, u tego djablika tępego najniższej rangi. Tak, najniższej rangi!

Takie myśli wymykały mi się wprost wbrew woli. Odskakiwały od mózgu, jak iskry od

http://rcin.org.pl

żagwi. Wlokłem się ciągle bez kierunku i celu. Znalazłem się w dzielnicy starej i ubogiej. Blade dzieci siedziały na kamiennych progach. Na narożnikach roztaczały ogony pawie, krwawiły piersi pelikany. Zabawne smoki polichromowane rozdziawiały groźnie paszcze. Szybowały żaglowce. Dotykałem tkliwemi myślami siateczek drobnych zmarszczek na twarzy ubogich kobiet. Skóra pod ich oczyma była różowa, anemiczna i przejrzysta, oczy wyblakłe i zastygłe w wyrazie bezgranicznej cierpliwości. O nędzo, jakże ty tam szeroko rozpostarłaś swój sztandar zbrukany! W ciemnym jak wnętrze pieca sklepie węglarza siedziała ruda dziewczyna. Twarz miała zasłoniętą rękoma. Wydało mi się, że płacze. Skacząc wesoło, przebiegły dwa psy łaciaste, a potem zaraz gołębie przefrunęły, lśniąc i opalizując. Nagle odjęła ręce: była piękna. Ujrzałem, olśniewająco ujrzałem, że jest zgubiona... Oddaliłem się w milczeniu.

Błądziłem długo, aż znalazłem się znów w innej dzielnicy. Rozwierała się przede mną ulica szeroka i potężna, zielona w zmierzchach wieczoru, okrutna jak szczęki rekina. Nieskończony blady szereg lamp wisiał wysoko i uroczyście. Ciemne jeszcze okna pobłyskiwały jak zwierciadła hebanowe, w które czasem

http://rcin.org.pl

złocista żółtość jaskrów się wkradnie. Uczułem się nagle śmiertelnie znużony i samotny, bez Boga — ojczyzny — nadziei. Zaprawdę, nie dla mnie te słowa uzdrawiające! Czułem się wśród tych tłumów niebacznych w pustyni gorszej, niż Sahara. Ach, więc jestem doprawdy zapomniany przez wszystkich — przez braci i siostry moje! A jednak był czas, zmyślałem uporczywie, że spoczywałem w jedwabnym namiocie. Dwanaście najpiękniejszych w kraju dziewic zaglądało lękliwie, czym się obudził. Przynosiły mi kwiaty, sorbety i pocałunki. A teraz? Głód i wyczerpanie czekały do zachodu słońca i napadły mnie na progu wieczoru. Rozglądałem się naokół, jak ranny, któremu trzeba, by kto ranę przewiązał. Słyszałem szurgot nóg i przechodzenie ludzi -- mężczyzn, kobiet, dzieci, lecz nikt mnie nie widział. Upadałem ze zmęczenia. Sięgnąłem do kieszeni i namacałem miedzianą dziesiątkę, ostatnią. Cóż z tem zrobić? Co zrobić? Czy kupić chleba? Obracałem w ręku ciemną monetę, aż postanowiłem jechać nad rzekę tramwajem. Tam siądę! Tak dobrze będzie patrzeć na ciemną głębinę i myśleć, że za chwilę wszystko może się skończyć. Od dalekiej wody szedł do mnie szmer pociechy w owej godzinie.

http://rcin.org.pl

Stanąłem na przedniej platformie i pojechaliśmy. Na skręcie, gdy tramwaj zwolnił, lśniąca dorożka dwukonna porównała się z platformą. Wstrzymane lejcami konie zadreptały prawie na miejscu. Młoda kobieta powstała z siedzenia i wyciągnęła rękę ku mnie. Podawała mi nowy lśniący portfel z żółtej skóry. Po chwili portfel miałem w ręce, a dorożka pomknęła dalej. Młoda kobieta obróciła się, roześmiała i skinęła głową potakująco. Jej towarzysz złożył mi ukłon kapeluszem. Jeszcze mgnienie — i znikli w natłoku pojazdów. Byłem w osłupieniu. Stojący obok mnie pasażerowie zdradzali silne zaciekawienie. Pohamowałem się i obojętnie wpuściłem portfel do kieszeni. — To moi znajomi — rzekłem — zwracają mi, co zapomniałem u nich przed godziną... Czułem milczące niedowierzanie i oczy, utkwione we mnie. Zeskoczyłem na drugim przystanku. Rozejrzałem się oględnie naokół, wśliznąłem do pustej bramy. Z sercem, które się trzęsło od strachu — zajrzałem! Do dziś czuję dreszcz olśniewający, rzęsisty! Leżały tam w błękitnych lśniących przedziałkach banknoty sturublowe — świeże, czyste, piękne! Dziesięć banknotów! Zresztą — ani szczątka biletu, adresu, listu.

Schowałem portfel. Zapiąłem marynarkę na

http://rcin.org.pl

wszystkie guziki. Zacząłem się śmiać. Ha! ha! ha! Zanosiłem się jak szaleniec, opierając się o ścianę. Moje nerwy, zbyt długo napięte, nie wytrzymały. Śmiałem się, parskałem, dusiłem się śmiechem, a łzy ciekły z oczu, łaskotały mi policzki. Zebrała się zaraz koło mnie gromada ludzi. Nachylano się nade mną, coś mówiono. Kobiety kiwały głowami. Uczułem, że będę zgubiony, jeśli nie zniknę zawczasu. Opanowałem się, rozepchnąłem tłum, wyszedłem na ulicę...

Myślałem nieraz o tej kobiecie, której później nie spotkałem już nigdy. Marzyłem o niej godzinami. Z rozbicia i niepamięci udało mi się ocalić mały uśmiechający się kąt jej warg w owej krótkiej chwili, gdy wyciągała rękę do mnie. Cieszyłem się, jak dziecko zabawką najmilszą, tym kącikiem jej ust i drżałem z obawy, by mi nie zniknął. Ach, wśród tysięcy istot trzeźwych, rozsądnych, logicznych znalazła się jedna głowa szalona! Za cenę tysiąca rubli chciała postawić sobie pomnik zdumienia i pamięci w sercu nieznanego biedaka! Nigdym nie czuł wstydu, że jej oko, ręka i hojność tajemnicza mnie właśnie wybrały, że cisnęła mi złoto z szaloną lekkomyślnością — bez troski, czy pieniądze nie będą źle użyte. Dzięki niej wyłowiłem *Złotą*

http://rcin.org.pl

Rybę przypadku — ja, od którego dotąd nawet marne płotki uciekały. Za cenę tych rubli nie nabyłem ani jednej cnoty. Nie mogłem przecie w ten sposób profanować pamięci Nieznajomej. Nie zrobiłem nic, aby zabezpieczyć sobie przyszłość. Nie nabrałem rozsądku. Nie pamiętałem o czarnej godzinie. Lecz to, o czem myślałem w posępnych wieczorach na prowincji i później, gdy w stolicy żarła mię nędza — stało się ciałem. Gdym całował usta dziewcząt, które kochały mnie za humor i pieniądze — myślałem, że świetne oczy Nieznajomej widzą, jak piję Życie. I miłość moja ku każdej z tych istot lekkomyślnych miała za sprawą Nieznajomej iskrę szczytnego zapału!

Raz spotkałem owego pana, który w ów dzień pamiętny niósł małego czerwonego djabła na cylindrze. Stawiał nogi sztywnie, szeroko a poważnie. Szedł rozdęty, niosąc uroczyście swe obrzydłe grzechy i cnoty sparszywiałe.

— Nie — rzuciłem mu w twarz urągliwie — ja nie wstydzę się wcale tego, że tak niezasłużenie wziąłem pieniądze z rąk nieznanej kobiety. Ach, stary, tępy obłudniku, jeden z tych, co chcą okadzać własność zapachem cnót gnijących, nie wstydzę się tak, jak ty wobec siebie nie wstydzisz się twych sprytnych łajdactw!

http://rcin.org.pl

Żyłem rozrzutnie, bezpamiętnie — aż do ostatniego szeląga!

O, błogosławiony niech będzie kaprys, który nie oblicza, a który sam tylko dać może gorzkiemu sercu biedaka godzinę tryumfu! Błogosławiony niech będzie nie długotrwały mozół, lecz pomysł chwili szczęśliwy. Błogosławione niech będą hojność i wspaniałomyślność! Błogosławiony niech będzie szał! Błogosławioną niech będzie pogarda rozsądku, który rozdaje szelągi i rozlewa zupę rumfordzką! Błogosławiony niech będzie ukrop namiętności i otchłań potępienia, w którą zaglądać mogą najmędrsi tylko i płomienni!...

http://rcin.org.pl

MARKIZA
de BRINVILLIERS.

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

Rok 1676. Paryż. Dzień letni. Nieprzejrzane tłumy na ulicach, w oknach i na dachach.

Na wozie, zasłanym słomą, stoi Markiza de Brinvilliers. Tyłem do konia — w kołpaku, szydnym, w zgrzebnej koszuli, ze strykiem na szyi, bosa. Skazana za zapamiętałe trucicielstwo na oddanie głowy pod miecz, spalenie ciała i rozsianie prochów na cztery wiatry. Z jednej strony skazanej — spowiednik, z drugiej — kat. Koło wozu pachołkowie, wojsko. Przed wozem mnichowie w kapturach, chorągwie,— na których otchłanie ogni piekielnych, — pochodnie, krzyż z Chrystusem, spowitym czarną krepą.

Markiza ⟨wzdryga się, potrząsa głową, opędza się myślom⟩:

...Nie śmierć, lecz życie rozpamiętywać... Śmierć? Widziałam ją nieraz, gdy odchodzili t a m c i.

Kto ja byłam? Gdyby wiedzieli... Nikt mnie nie odgadł. Kochałam tych, których trułam. Życie ich nie było tem jednem, czego pra-

http://rcin.org.pl

gnęłam. Łaknęłam śmierci, aby nasycić pełnię. Mogli żyć, lecz wtedy jabym nie była nasycona... ⟨szeptem⟩ byłam lwicą... hyeną... wężem...

Teraz jestem sama — jak zawsze... Teraz wśród szmeru ostów cmentarnych... Kto czuł żar mój pierwszy? Kto słyszał głosy? Kto widział pragnienie? Nade mną — w niebie tak jasnem dla nich — unosił się obłok. Z obłoku — otwarty był jako wieko skrzyni — wychylał się Nieodgadniony. On, który wzywał mnie, który zachęcał... W mych rękach drżała czara trucizny...

Tak, w tych pięknych rękach, strojnych w mankiety z koronek, drżała trucizna. O, rozkoszy! Dygotało serce... Bielało me serce i usta, gdy w cieniach nocy drżała przede mną w światłości niebieskiej, niby monstrancja, trucizna w krysztale...

Czy ja pierwsza wychyliłam się ku Niemu? Czy ja wyciągnęłam ręce do Nieodgadnionego? Czy On do mnie z obłoku? Otwierały się usta... Wyciągały ku truciźnie. Widziałam na twarzy tych ust grymas dziecka, które płacze, aby mu piersi dała... ⟨szeptem⟩ matka...

Głos Spowiednika ⟨który się modli⟩ ...*umocnię nad łobą oczy moje*...

Markiza... nad innemi głowami była cisza

http://rcin.org.pl

pogody... Wędrowanie obłoków bez podszeptów... A nad moją?

— Panie — błagałam — ⟨szeptem⟩ wiłam się po łożu — odwróć ode mnie pokusę... Czemu ja?

Zawijałam się w oponę... Tarzałam się, jak z kochankiem. Ogłuszyć się... ogłuszyć... Nad innymi były uśmiechy, nade mną — niebezpieczeństwo. Stał obłok w górze — otwarty. Wychylała się twarz Niepojętego.

Mówił tak:

— Ona chce być, jak inne. Odpycha kielich, który podaję. Czy daję kiedy gorycz bez słodyczy? ranę bez balsamu? nałóg bez rozkoszy? O, Marjo Magdaleno...

Milkł. Odchodził. Byłam sama ⟨szeptem⟩ O, jakże dobrze jest bez Boga...

Głos Spowiednika ⟨który się modli⟩ *...ojca sierot i sędziego wdów... Boga na miejscu swem świętem...*

Markiza ⟨zwiesza głowę⟩. Czarne wieże naokół... Słońce na dachach... Dzwony... ⟨wzdryga się⟩ Rozpamiętywam swe życie...

Kogóż On posłał? Pana Sainte Croix. Ten został moim kochankiem. Że Nieodgadniony wychyla się do mnie, nie było mowy między nami. Usta moje całowały pana Sainte Croix, milcząc o tem. Chciałam spłonąć w jego obję-

http://rcin.org.pl

ciach. I żeby on spłonął. Szargałam w błocie obmowy nazwisko męża — markiza de Brinvilliers...

Drogo d'Aubray, mój ojciec, wyjednał u króla rozkaz uwięzienia. Pana Sainte Croix zamknięto w Bastylji.

Byłam jak inne kobiety. Płakałam. Drżałam o los kochanka. Wiłam się sama... Pożądałam go. Kłamałam uroczyście ojcu, że wyrzekam się cudzołóstwa po wieki wieków.

Pan Sainte Croix odzyskał wolność. Znów płonęłam w objęciach odzyskanego. Rzekł mi w usta, w oczy:

— Drogo d'Aubray musi umrzeć... Otrujmy...

Stanęłam martwa... z białej kipiącej zgrozy. Upadłam na ziemię... płakałam.

Nachylił się do mnie. Przypełzł na kolanach. Przemawiał do mnie Sainte Croix, jak ojciec... pieścił jak kochanek... moją głowę... łono drgające.

Mówił:

— Myślałem, że masz duszę mocną. Że znajdę u ciebie balsam na ranę, którą mi Drogo d'Aubray zadał. Zapomniałem... Tyś córka...

Rzekłam ‹Czuję dotąd ciężkie łzy w oczach›:

— Widziałeś Wychylającego się? Widziałeś?

http://rcin.org.pl

On:

— Haust wody, Marjo?! Ochłoń...

Ja:

— Bóg cię posyła...

On:

— Zapomnijmy o Bogu... Trzeba się mścić...

Ja:

— Nie myślę o zemście... Nie chmurz się... Otruję Drogo d'Aubray... mego ojca. Bóg cię posyła... ciebie wybranego. Nikt inny nie rzekłby: otrujmy... To Bóg...

On:

— Nie mów: Bóg... Drżę... Czy jesteś szatanem gorszym od Kukodemona, że na Boga zwalasz cień Szatana. Drżę... Nie odróżniasz wrogów śmiertelnych — po wieki wieków.

Ja:

— Nie jestem opętana. Nigdy nie widziałam oślej stopy djabła. Ciało mam czyste — bez stygmatów... Bóg mnie nawiedza...

On:

— Milcz, Marjo. Ja mścić się chcę, ale nie urągać Bogu. Jam w szponach szatana. Dla zemsty w piekło runę. Chcę Boga... pragnę Jego miłosierdzia... O, gdyby On raczył wybaczyć mi zemstę!...

Ja:

— Nie zasłaniaj oczu przedemną, Sainte

http://rcin.org.pl

Croix... Nie znasz Mądrości odwiecznej... Fijołki niewinne z krwią pogodzić trzeba ⟨Tak rzekłam wtedy...⟩ Wszystkie żywioły uspokoić... Rzężenie umierających i słodycz hymnów anielskich... Nie znam trwogi... Nie będę cierpiała... ⟨przymyka oczy, szepcze⟩. Nie rozumiał mnie pan Sainte Croix...

Głos Spowiednika ⟨który się modli⟩: ...*Nie odstępuj ode mnie, albowiem utrapienie blizkie jest, bo niemasz, ktoby ratował...*

Markiza ⟨wzdryga się, wstrząsa głową⟩: ...Zabiłam ojca... pana Drogo d'Aubray. Pielęgnowałam go w chorobie, aż ducha wyzionął. Był mi ojcem... Cierpiał ciężko... ⟨zapada w odrętwienie⟩.

...Gdy umarł — leżałam w żarze rozkoszy. Ukazał się obłok i On. Wracał do mnie. Szedł jakby pląsał... w blaskach szat... w woniach ogrodów. Słyszałam trąby, cymbały, flety... Leżałam krzyżem rozpostarta. Wrzała dusza moja. Usta struchlałe szeptały:

— Krew zwarzona w żyłach tych, którzy pili... Krew zwarzona...

Nieodgadniony mówił:

— Ona inna... Ona inna... Zamknąłem przed nią bramy szczęścia ciepłego. Otworzyłem przed nią bramy szczęścia płomiennego. A ci, którym sądziłem śmierć gwałtowną, zginą z jej

http://rcin.org.pl

ręki... O, jak cicho stąpa moja Marja Magdalena...

Milczałam, gdy On los mi odmierzał. Na włosach czułam promienie z obłoku. Słyszałam wołanie:

— Podnieś czoło, Marjo Magdaleno, podnieś czoło...

Wstałam i pisałam w gorączce ognistej:

— Zabiłam ojca! Otrułam Drogo d'Aubray! Syczały do mnie słowa. Pieściły mnie, jak tysiące panów Sainte Croix, z których każdy inną część mej skóry całował. A ja kochałam wszystkich, jak jednego pana Sainte Croix.

Nie byłam, jak ci ludzie, którzy się wiążą nićmi sympatji, którzy mówią:

— Dobrze nam związanym i bezpiecznie...

Musiałam pisać: truję! truję! truję. Aby dowiedziano się kiedyś, tańczyłam nad przepaścią... Zaglądałam w otchłanie pełne konwulsji...

O, głupcy! Wierzą, żem zabijała dla złota... że z nienawiści... Nienawiść? Czy za to, że t a m c i umierając poili mnie rozkoszą, któr e war spopieliłby usta innych?

Mój mąż? Markiz szeptał zawsze: tak — nie, tak nie, ledwie ujrzał chmurę na czole, ust skrzywienie... Wzgardziłam... tym jednym... Był czas... otruć go chciałam... być żoną pana

http://rcin.org.pl

Sainte Croix. Ale ten człowiek przez Niepojętego mi posłany — ten, który giął się w mych rękach jak wosk i warzył dla mnie trucizny, przejrzał zamiar mój i udaremnił. Jam truła — on dawał antidot. To było niepotrzebne — śmierć Markiza. ⟨głośno⟩ Dziękuję ci, Sainte Croix...

Głos spowiednika ⟨który się modli⟩: *...i w cieniu skrzydeł Twoich nadzieję mieć będę, aż nieprawość przeminie...*

Markiza. Pytałam Boga: — Jakże to? Jaką sprawę umyśliłeś między Tobą a mną? Ty wiesz i ja i pan Sainte Croix, któregoś mi posłał. Inni nie wiedzą. Gdyby odkryli: zbrodnia! zbrodnia! zbrodnia! Jakże to, Boże?

Nieodgadniony mówił:

— Gardź. Skułem świat ćwiekami. Oni widzą tylko głowice ćwieków. Jak daleko sięgają, w co wchodzą, co broczy rozdarte — czy wiedzą? Wzgardź. Znam tajemnicę zła i dobra — ja jeden. Poznasz, gdy wrócisz do Posyłającego.

Ja:

— Boga?

On:

— Nie mów: Boga ani Szatana — jest jedność... Niema granic... Jest głód wieczysty. Tyś głodniejsza nad inne... Żresz ogień, o moja

http://rcin.org.pl

córko wybrana... Weszłaś w morze traw płonących, przy którem inni grzeją ręce oziębłe. Truchlejesz... Podnieś głowę, Marjo Magdaleno...

...Płynęły lata... Żyłam w objęciach pana Sainte Croix... W rozkoszy śmierci t a m t y c h...

„Marjo Magdaleno" — przemówił do mnie głos cichy, głos łagodny jak harfa: „z a b i j s i e b i e"...

Chlusnęła rozkosz... Serce me wrzasnęło... Lecz zaraz potem owiał mnie czad, jakby trucizny i zapach sadu brzoskwiniowego. Rzekłam w ciemność:

— Nie. Gdy raz przeżyję Śmierć — nie zdołam przeżywać jej dnia i godziny, gdy pożądam. Jestem kochanką Śmierci i pana Sainte Croix...

To nie on... nie pan Sainte Croix... to ja potrułam obu braci moich... to ja trułam siostrę moją Teresę... i wielu... wielu innych. Lecz jako, że byłam narzędzie w ręku Nieodgadnionego, więc dał mi On usposobienie wesołe, wdzięk seraficzny, uśmiechy czarujące. Kładły się u stóp mych serca... Byłam zorza, zawieszona nad oczyma: nabierały blasku źrenice ich patrząc, ślepły i umierały. Oskarżają mnie o bezbożność. Chcecie wie-

http://rcin.org.pl

dzieć prawdę? ⟨głośno⟩ Nikt tak żarliwie nie obcował z Bogiem, jak ja...

Spowiednik. Oddal szatana pychy od serca twego...

Markiza. Ojcze, ten łotr Desgrais patrzy na mnie... Zasłoń mnie...

⟨Duchowny osłania Markizę⟩.

Markiza. Kto raz zachłysnął się — umierał. Poczęstowałam kawalera de Guet pasztetem z gołębi. Twarde w nim było życie! Cherlał jeszcze trzy lata — aż padł. Nie ludzka to była sprawa: byłam niemy miecz boży. Żądło pana Sainte Croix było śmiertelne. Próbowano tych trucizn na wodzie i na ogniu! Nikt nie doszedł prawdy. U otrutych żołądek był czarny jak sadze. Lśnił jak aksamit. Wątroba obłożona płatami rdzy. Pragnienie jak pożar... Umierali z popękanemi wargami, z których krew broczyła... Trucizny nie znajdowano... Umie Bóg ukrywać ślad swej stopy gorejącej... ⟨szeptem⟩ Gdym cudzołożyła z Sainte Croix, zamknięte we flakonach trucizny śpiewały: Te Deum laudamus...

Głos spowiednika ⟨który się modli⟩: *Oto oddaliłem się, uciekając i mieszkałem na pustyni...*

Markiza. Mieszkałam w cieniu Nieodgadnionego. Nie roztrząsałam jego zamiarów.

http://rcin.org.pl

Byłam prosta, stałam się śmiała. Za to dał mi szczęście niedostępne dla duszy trwożliwej. Żyłam w wirydarzach rozkoszy. Czemu mnie opuścił?...

⟨zapada w odrętwienie⟩.

Pan Sainte Croix ginie, gdy preparował truciznę. Spadła mu z twarzy maska szklana. Padł, jak rażony gromem. Wydało się. Znaleźli szkatułę z truciznami... moje listy... Uciekłam do Leodjum. Schroniłam się do klasztoru. Mieszkałam w kraju barbarzyńców. Opłakiwałam moją piękną Francję. Wtedy przypełzł ten gad... w sutannie księdza. Pocieszał mnie... żartował... podziwiał... śpiewał: o lire, o lire, o lire, o la! Porwały mnie siepacze tego oprawcy... uwiozły gwałtem... ⟨skazana wychyla twarz zza ramienia księdza, grozi oczyma⟩ ⟨głośno⟩ Markiza de Brinvilliers zgrozą żyć będzie w pamięci wieków... Ale ty nikczemny... ty! O tobie wspomną z obrzydzeniem! Oplują pamięć zdrajcy Desgrais!...

Desgrais ⟨zwraca się do kata⟩: Mistrzu zdław gardziel trucicielce *⟩.

*⟩ Rząd francuski wysłał za zbiegłą markizą ajentów policyjnych, lecz ta schroniła się do klasztoru, a klasztory w owych czasach uważano za nietykalne. Jeden z ajentów Desgrais zaczął bywać w klasztorze w przebraniu za księdza. Udawał zakochanego, pozy-

http://rcin.org.pl

⟨Kat milczy, nieruchomy⟩.

Markiza ⟨znów chowa się za ramię duchownego⟩. Zniosłam potrójne spytki: wody! ognia! powroza! Potem w koszuli, z tym strykiem... z gromnicą ciężką... Ręce mi mdlały i płakały... Ja zbrodniarka... ja markiza de Brinvilliers odbywałam skruchę... w kruchcie katedry... na oczach gawiedzi... Lecz nie...

⟨wznosi głowę i oczy w górę⟩:

— Jeżeli Tyś chciał... jeżeliś się ukazywał... jeżeli słyszałam głosy trąb i cymbały i flety, czemu teraz milczenie w górze? Gorzki popiół na wargach... ⟨szeptem⟩ Czyżby niebo moje było puste?

Głos Spowiednika ⟨który się modli⟩ ...*Wykopali dół przed obliczem mojem i wpadli weń*...

Markiza ⟨patrzy na róg ulicy⟩ Moje znajome... Ha... ileż ich tu! Wyciągają szyje jak gęsi... Postrojone... w lokach... w robronach... ⟨głośno do tłumu arystokratek⟩:

— Moje panie, zaiste piękny to widok dla waszych oczu ciekawych!...

Głos Spowiednika ⟨który się modli⟩: *Boże! Boże mój! Do ciebie wołam na świ-*

---

skał zaufanie markizy i wywabił ją z klasztoru na wycieczkę zamiejską, podczas której została pani de Brinvilliers porwana i uwieziona do Francji.

http://rcin.org.pl

łaniu... Pragnęła Cię dusza moja i ciało moje w ziemi pustej i niedrożnej i bezwodnej...

Markiza. Idzie za mną oczu ich chmura... Idę w morze... W jego fale zepchnęłam tylu... Szmer... skrzydła łopoczą... Krocie głosów skarży się... łka... Płomienie pełzają po skałach... W mrok idę czy w blask gwiazd nowych?...

⟨zapada w odrętwienie, ocyka się, znów czujna⟩:

Czy wśród tych tłumów, wśród tylu kobiet, wśród tylu dziewcząt jest która, jak ja, wybrana i odepchnięta? ⟨błądzi oczyma po twarzach, znajduje twarz niemą dziewczynki— skromną, zakłopotaną⟩. Życie moje było pomyłką daremną. Mogłabym mieć taką cichą córkę... być inną... ⟨prostuje się⟩ Nie... Żyłam jak tygrysica... nie będę zazdrościła owcy... ⟨patrzy na dziewczynkę⟩ Miłe stworzenie... Całe życie prześni z lilją w ręku... Gdyby nie stryk... gdybym kwiat miała na piersiach... Rzuciłabym jej kwiat — jałmużnę...

⟨pochyla głowę, szepcze⟩:

Oni? Czyżby odgadli mój ruch i serce?...

⟨Wóz wtacza się na Place de Grève. Milczące tłumy. Szafot. Dzwony dalekie.⟩

http://rcin.org.pl

185/91K
http://rcin.org.pl

SPIS RZECZY:

	Str.
RĘCE	1
PANI HOULD	21
OSTATNI WIECZÓR KSIĘŻYCOWY BŁAZNA	47
SYN MARNOTRAWNY	57
BAŚŃ O MIŁOSIERNEJ CÓRCE	114
BAŚŃ O ZAPRZEDANEM SZCZĘŚCIU	125
ARJADNA	143
ZŁOTA RYBA	169
MARKIZA DE BRINVILLIERS	185

Kazimierz Radwański

IBL

I-45.661

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

http://rcin.org.pl

16.000

http://rcin.org.pl

I
45.661

LEON CHOROMA
ZUZANNA

TOM NOWEL: ZUZANNA. SEMI
JUDYTA. SODOMA. WASTHI. WYGN
NI Z RAJU. ŻONA PUTYFARA. KARA.
SŁOŃCE. ŻĄDZA. W GODZINIE ŻALU.
ŚLEPA KRÓLEWNA TRYUM AR. IDONA.
UWIEDZIONY. DON JUAN ZAGROŻO-
NY, CZYLI POTĘGA TRADYCYI.
OKŁADKĘ RYS. ED. TROJANOWSKI.
CENA RB. 1·50.

JULES BARBEY D'AUREVILLY
ZEMSTA KOBIETY

I INNE UTWORY
Z CYKLU »LES DIABOLIQUES« PRZEŁO-
ŻYŁ LEON CHOROMAŃSKI.
CENA RB. 1·80.

OCTAVE MIRBEAU
OGRÓD UDRĘCZEŃ

PRZEŁOŻYŁ LEON CHOROMAŃSKI.
(WYCZERPANE).

LEON CHOROMAŃSKI
FIRLEJE MOMUSOWE

PIOSENKI (Z DODATKIEM NUT). SATY-
RY. FRASZKI ET. C. (W DRUKU).

http://rcin.org.pl